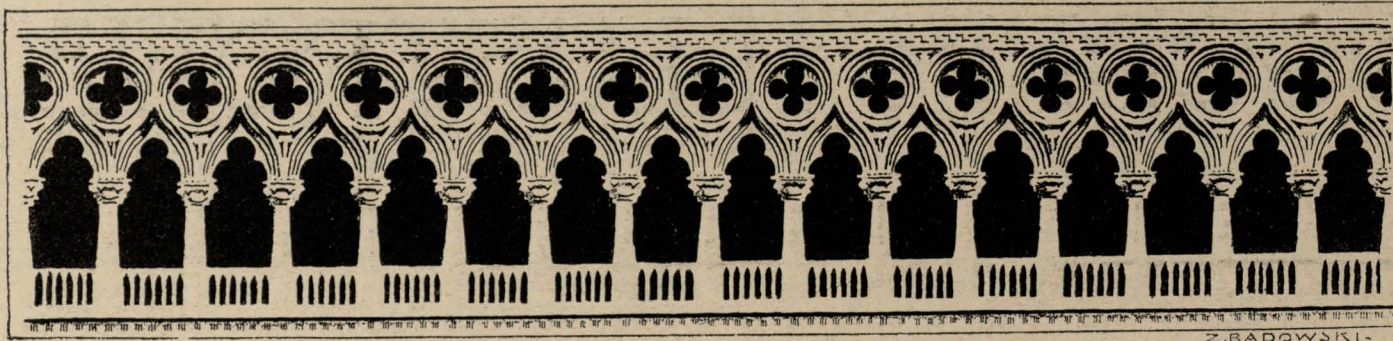


# TYGODNIK ILLUSTROWANY



CZARYNA  
Rys. STANISŁAW BAGIEŃSKI

Tępo patrzą wścieple w morderczynią  
Żalobnice czarne perły oczu ..  
Br. Ostrowska.



BRONISŁAWA OSTROWSKA:

## CZARYNA.

Pysznej Włoszki kolumnowy ganek  
Pod ponocny się ukrywa czar,  
W pni topolnych półkolisty wianek,  
Jako w skrzydła żałobniczych mar.  
Kolumnowy, pysznej Włoszki ganek  
Skrzył się czujnie w czarnych topól wianek...

Noc jesienna sine mroki przędzie  
Ponad stawy, zasnowane mgłą,  
Kędy cicho białe dwa łabędzie  
Na miesiąca srebrnej smudze śpią.  
Noc jesienna sine mroki przędzie  
Ponad stawy, kędy śpią łabędzie.

Zasię w górze, w mdłym kaganka błysku,  
Pośród ciężkich złotogłowych lam,  
Duma Bona w złotym swem siedzisku,  
W sobolowy zakutana błam...  
W migotliwie mdłym kaganka błysku  
Duma głucho w złotym swem siedzisku.

W futr beczennych kryjąc się opuchy,  
Dyjademem groźne miećąc skry,  
Sama jedna pośród nocy głuchej,  
W złowróżebne zatoneła sny,  
W futr beczennych kryjąc się opuchy,  
Sama jedna pośród nocy głuchej.

Z szafirowej mrocznych nieb posowy  
Polatywa smętnych gwiazdzic rój,  
I pociąga mroczny wzrok królowej  
Na gościnię zatracony swój,  
Za dżdżem gwiezdny niebieskiej posowy  
Bieży w otchłań mroczny wzrok królowej.

Smukłych palców niespokojne żmije  
Grają rytmem utajonych trosk:  
Śnieżny kłęb ich w głuchy ruch się wije,  
Mnąc śmiertelnie zażegnalny воск.

Jak zdradzieckie pierścieniste żmije,  
Smukłych palców śnieżny kłęb się wije...

Roście kukła,—roście kukła-dziwa!  
W topnym wosku służę ma i krew:  
Strute serce w topnym wosku skrywa  
I katuszy darmopychy gniew.  
Roście kukła! roście kukła-dziwa,  
Co w swym wosku krew a służę skrywa.

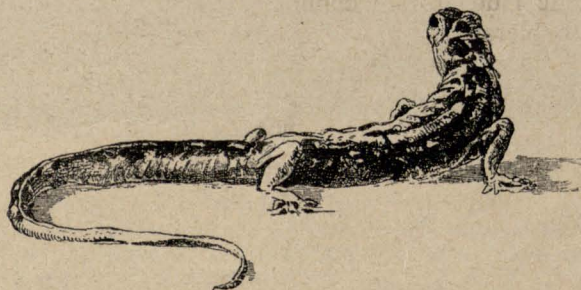
Gwiazd posiewnych lotny rój się mieni  
Skoś pomroki nieprzejrzany strop,  
Toli zasię krwawy żar pierścieni  
Błądnych ogni rozmigota snop...

Gwiazd posiewnych lotny rój się mieni,  
Toli zasię krwawy żar pierścieni.

„Oczy czarne! oczy bezpodobne!  
Barbarowe urocznice wy!  
Ze zausznic perły dwie żałobne  
Świecą w wosku, jak zatrute łyzy...  
Gasną oczy, oczy bezpodobne,  
Jako czarne perły dwie żałobne.

Usta lube! balsamiczne kwiaty,  
Usta krase, kwiatozielny miód!  
Z dyjademu krwawe dwa granaty  
Pieczęć kładą wam śmiertelnych wrót:  
Ziębną usta, wędzną krase kwiaty,  
Jak dyjademu krwawe dwa granaty.

Piersi białe! oto czar wasz czeźnie,  
Ptaki lubu, gołębice w śnie!



Tulich struty tonie w was lubieźnie  
Pod tulichem skłęty воск się gnie...  
Ptaki lubu! oto czar wasz czeźnie  
Pod tulichem, co was dżga lubieźnie!”

Niezbłagane modły syczy Włoszka,  
Kłąt urocznych śmiercionośne sny:  
Wosk wykłęty lepionego bożka  
Pod weneckim puinałem drży.  
Niezbłagane modły syczy Włoszka  
Nad niemocą lepionego bożka.

Tępo patrzą wślepłe w morderczynię  
Żałobnice czarne perły ócz...  
Ponad gankiem ciężki par się winie  
Okłębami widziadlanych tucz.  
Czarne perły patrzą w morderczynię,  
Ponad gankiem ciężki par się winie.

Wzrok królowej wypatruje w dali  
Gród Zygmunów, jenze skrywa mgła,  
Zasię widzi li na sennej fali,  
Jako cicho śpią łabędzie dwa:  
Mgła otula gród Zygmunów w dali,  
Dwa łabędzie cicho śpią na fali...

Śnieżystemi szyjami się owiły  
I w miesięcznym bladym srebrze śpią,  
Świećąc jeno z ponad wód mogiły  
Miłośniczą rzewną bielą swą...  
Śnieżystemi szyjami się owiły,  
Świećąc rzewnie z ponad wód mogiły.

Topolowe strzelne kolumnady  
Wzniosły wokół krypt gotyckich tum,  
Zaś pomrocznym łonem nocy bladej  
Szłocha wichru modlitewny szum...  
W krypt gotyckich strzelne kolumnady  
Modlitewnie świt się sący bladej...



JEDEN Z KOBIERCÓW „POTOPU” Z SERJI, NABITYCH PRZEZ ZYGMUNTA AUGUSTA, A ZNAJDUJĄCYCH SIĘ OBECNIE W PALACU CESARSKIM W GATCZYNIE.

WACŁAW SOBIESKI:

## Na Wawelu a na Kremlu.

1)

Na Wawelu odbywała się w roku 1530 nie widziana dotąd koronacja, bo oto tym razem nie koronowano tu człowieka w pełni sił, ale—dziecię dziesięcioletnie, pomimo to że żył jeszcze i panował ojciec tego młodzieńczego pomazańca, Zygmunt Stary.

Był to jedyny w dziejach naszych wyjątek i ustępstwo, uczynione dla tego małego wybrańca losów, wyjątek, uczyniony tylko dzięki wszechpotężnym wpływom matki królewicza, despotycznej Bony. Ta królowa Bona, która wszystkie skarby świata i wszystkie blaski chwały chciała złożyć u stóp swego ukochanego i rozpieszczonego jedynaka, która otoczyć go chciała wszelkimi wygodami i wykwintem, która oddała mu na usługi cały swój dwór i fraucymer, ta Bona ustroiła go tu teraz w najwyższe i najpiękniejsze błyskotki, bo na jego drobne skronie włożyła dyadem królewski, a w wąte dłonie oddała berło Piastów, aby mu w ten sposób z góry tron po ojcu zabezpieczyć.

Takie to promienne było zaranie życia królewicza Zygmunta Augusta, taki pierwszy jego występ na Wawelu.

Inna zupełnie dola miała przypaść w udziale rówieśnikowi \*) królewicza, carewiczowi Iwa-

nowi, późniejszemu carowi Groźnemu. Podczas gdy młody Jagiellon opływał we wszystko i mógł być nazwany prawdziwym dzieckiem szczęścia, to tymczasem potomek Ruryka doznawać miał samych klęsk, udręczeń i najprzykrzejszych upokorzeń.

W przeciwieństwie do pieszczonego przez rodziców Zygmunta Augusta, carewicz miał zakosztować gorzkiej doli sieroczej. Miał ledwo lat 3, kiedy odumiera go ojciec, lat 8, kiedy odumiera go matka, i to ta matka umiera nie śmiercią naturalną, ale otruta przez bojarów!

I odtąd osamotniony, biedny sierota, oddany zostaje na łaskę i niełaskę kaprysu ścierających się z sobą partyi bojarów.

Wrażliwe dziecię musi patrzeć na okrutne walki tych koteryi, musi patrzeć (jak później będzie wypominać Groźny), jak wszechwładny bojar Szujski rozwalać się będzie w butach po łożu jego ojca i rozdrapywać skarb carski.

Rozzuchwaleni bojarzy dali się wówczas dobrze we znaki młodemu carewiczowi i czynili wszystko, aby go przeciw sobie rozdrażnić i do zemsty pobudzić. Jakby naumyślnie, odbierali mu z przed oczu wszystko, co polubił, w czem się kochał. A więc otruli mu matkę, potem oderwali odeń jego ulubioną mamkę, wreszcie ulubionego towarzysza zabaw, Woroncowa, spoliczkowali w jego oczach i wypędzili precz na wygnanie. Karbował sobie dobrze to wszystko młody carewicz, aby kiedyś dać swym ciemiężcom sowitą a krwawą zapłatę. On sam wziął od nich lekcję

barbarzyństwa, wprawił się do terroru, nabrał hartu i bezwzględności, a przedewszystkiem, zostawiony zawsze sam sobie, nauczył się w przyszłym życiu polegać tylko na sobie i sobie tylko ufać.

Zupełnie inaczej Zygmunt August. Ta rozpieszczona przez matkę cieplarniana latrośl Jagiellonów nauczyła się jednego: słuchać swej despotycznej i niezłomnej matki i spełniać jej wolę. I stąd to, nie zdoławszy wyrobić sobie hartu woli, będzie odtąd zawsze w przyszłym życiu oglądać się za kimś, toby nim kierował i nim powodował: że wspomnę tylko o owym przyszłym despotycznym jego doradcy, Radziwille Czarnym.

Jakże bo też inne od iwanowego było wychowanie królewicza. Jakżeż mógł nabrać energii Zygmunt August, kiedy jego wychowawca, Opaliński, powstrzymywał go nawet od łowów z sokołem, wyrażając obawę, aby tego rodzaju polowania nie rozbudziły w nim skłonności do okrucieństwa i nie zatwardziły jego serca. A kiedy w takiej zniechęcałości chowano Zygmunta Augusta, równocześnie na Kremlu młody Iwan właśnie z góry zaprawiał się do swoich przyszłych neronowych występów, gdy jeszcze, jako mały dzieciak, w towarzystwie nadwornych psiarzy lubił z piętra rzucać psy i potem paść swój wzrok widokiem cierpienia i agonii tych zwierząt. Nic też dziwnego, że pod wpływem tak różnego wychowania wyrósł z jednej strony pan tak czułego i miękkiego serca, jak August, a na Kremlu—bezwzględny i okrutny Iwan, ów Iwan, który, mając ledwo lat 13, rozkaże właśnie tym samym psiarzom sprzą-

\*) W pół roku po tej koronacji na Wawelu rodzi się Iwan Groźny.

nać bojara Szujskiego i czynem tym zainauguruje długoletnią krwawą tyraniją...

Sama Moskwa takim go wychowała i urobiła, gdyż sama przywykła oddawna do ciężkich razów bicia tatarskiego, tak że już wprost nie mogła sobie wyobrazić typu i ideału prawdziwego władcy, któryby nie był bezwzględny, stanowczy, surowy i nieubłagany. Dla narodu moskiewskiego szczytem władzy był właśnie taki car, jakim się stał właśnie Iwan Groźny, car, który szerzył dokoła siebie niemy strach i przerażenie, car, co kazał czcić siebie, jak samego Boga, i umiał bez najmniejszego skrupułu sumienia składać hekatombę z ofiar ludzkich na ołtarzu państwa! Jeśli dla owoczesnego społeczeństwa moskiewskiego (jak widać ze współczesnej książki obyczajowej, „Domostroj”) jest ideałem ojca rodziny taki groźny ojciec, co umie dobrze smagać pletnią tak swą żonę, jak i dzieci, toć oczywiście ideałem władzy dla takiego narodu był też taki car-kat, który umiał narodowi grozić, a nawet katować go owym osławionym kosturem, zakończonym w dziurę—słowem, taki car, na którego widok krewby się w żyłach mrozem ścinała. Iwan znał też swój naród i dlatego później tłumaczył królowi polskiemu (Stefanowi), że dlatego właśnie każe swej straży trzymać przed swym tronem na ramionach obnażone topory, aby stąd szła, jak mówił, „groza” na lud. On czuł, że ten



Iwan Groźny (według starego drzeworytu).

lud za tę „grozę” będzie nawet mu dziękować, i że będzie mógł, jak „Król-Duch” Słowackiego, powiedzieć o sobie:

„że mię ukochano  
Za siłę i za strach i za męczarnie,



Barbara Radziwiłłówna (kopia portretu, przechowywanego w zamku nieświeskim).

Gdym wyszedł, lud giął przede mną kolano,  
Lud o wiec, który się k' pasterzom garnie...”

Tak jest! Ten lud istotnie „kochał go za męczarnie”. Iwan miał tego najlepszy dowód na głośnym w owych czasach przykładzie jednego bojara, który za jakieś drobne przewinienie



Zygmunt August (według oryginalnego rys. J. Matejki).

został na rozkaz Iwana wbity na pal i, męcząc się jeszcze przez całą dobę, nic innego nie mówił do swej żony i dzieci, stojących podług słupek, jak tylko same błogosławieństwa dla cara, powtarzając: „Boże, chroń cara”...

Zupełnie inne miał usposobienie i upodobania naród polski, i zupełnie też innym stał się Zygmunt August. On wiedział, że, aby coś przeprowadzić i przeprzeć w Polsce i wogóle w niej rządzić, to trzeba działać nie przez gwałt, ani przez przemoc, ale trzeba sobie zyskać naród przystępnością, popularnością, łagodnością i zamiast otaczać się, jak Iwan, bizantyjskim ceremoniałem, trzeba, przeciwnie, poniżyć się i odzierać z blasku majestatu. Wybornie był o tem przeświadczony Zygmunt August i zwykł był mawiać, że on umie więcej zyskać u swoich Polaków jednym uchYLENIEM CZAPKI, niż inni monarchowie strachem i groźbą. To też, kiedy na sejmie unii lubelskiej panowie litewscy runęli przed nim na kolana, on mówi do nich z emfazą: „Kłękajcie P. Bogu samemu czynić mamy, a nie ziemskim panom”... On wiedział, że takim powiedzeniem ujmie sobie serca Polaków tak, że wraz z kronikarzem Lubienieckim będą podnosić z uznaniem, że „August nie pyszny”; on doskonale wiedział, że niczem tak sobie nie kupi poparcia u senatorów, jak tem, że każe im na bankietach mówić do siebie poufale per „Ty”...

W Polsce trzeba było być „królem malowanym”, trzeba było być, jak Zygmunt August, „do jutrzkiem”, t. j. odkładać wszystko do jutra i o niczem nie decydować doraznie—słowem, trzeba było być, jak natrząsał się Groźny z Zygmunta Augusta, „nie wolnikiem niewolników”. Kiedy Zygmunt August zapytał raz Pszonki, założyciela Rzędziwiewskiej, kto jest w Babinie królem, odpowiedział ten z humorem: „Boże, uchwaj, abyśmy, póki żyć będziesz, innego pana obierać sobie mieli”. Królem „babińskim”, a więc królem do niczego, zwała szyderczo Zygmunta Augusta szlachta polska, ale, choć sobie w ten sposób z niego pokpiwała, to jednak wcale nie pragnęła innego rodzaju władcy, owszem, lubiła go, bo właśnie chciała mieć na tronie

tego, skutego kajdanami swych praw niewolnika. Ona takiego Iwana Groźnego nie ścierpałaby na Wawelu ani godziny, ona nie zrozumiałaby wprost całego owego moskiewskiego, jak go nazwał później Mickiewicz, „heroizmu niewoli”, przedewszystkiem zaś, czułaby wstręt do tyłu okrucieństw, jakimi splamił sobie ręce Iwan Groźny. Człoby wstręt do tyłu morderstw ten naród, o którym współcześni obcy podróżnicy i dyplomaci podnoszą z uznaniem, że ma krew dziwnie „łagodną”. \*)

To też rzecz znamienita: kiedy naród moskiewski za najszczytniejszą cechę u Iwana uznał to, że szła od niego groza, i w nagrodę też za to kronikarze Moskwy wyryli mu na kartach dziejów przydomek „Groźny”, to tymczasem Polacy w swym królu uznali, jako najwznioślejszy rys charakteru, zupełnie przeciwną cechę, podnosząc przez usta swego kronikarza Bielskiego, że „była w nim ludzkość wielka”...

Ta różnica w traktowaniu swych poddanych wystąpiła u obu monarchów w całej pełni już zaraz na wstępie ich rządów. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności tak jeden, jak i drugi, w tej samej chwili, kiedy ujmują ster rządów, spotykają się oko w oko z buntem własnych poddanych, z buntem, który w obu krajach wybucha niemal równocześnie (1547/8). Jeden—to rokosz, który podnosi czerń miasta Moskwy z powodu strasznego pożaru tej stolicy, pożaru, który obrócił w perzynę nie tylko to miasto, ale i sam Kreml. Bunt moskiewski to bunt żywiołowy, bunt zabobonnej ciemnej tłuszczy, która, rozwścieczona tym pożarem, chce koniecznie znaleźć sprawców tej pożogi i w końcu mści się za nią, mordując rodzinę Glińskich, najbliższych kuzynów Groźnego, i nawet atakuje dom samego cara i z wrzaskiem domaga się, aby wydał im resztę Glińskich. Cóż miał uczynić Iwan? Na zamordowanie swych kuzynów odpowiedział mordem. Kazał prowadzić motłochu ująć i stracić, i czerń przestraszona rozbiegła się do domów...

(DCN)

\*) „Adeo gens sui sanguinis abstinens est et civili dissidio, quod armis decernendum sit, abhorret”. Gratiani, De scriptis invita Minerva vol. II (r. 1746 str. 215).—„O nas inne narody powiadają, że „dulcis est sanguis Polonorum”, Czubek, Pisma polityczne I, 473 też 510, 517.—„E sebbene il sangue polacco sia dolce” Wierzbowski, V. Lauro str. 270, też Chojsnin o tem, że naród polski wzdryga się każdego krwi rozlewu. Kontrast tem więcej się uwydatnił, że to były czasy „wojen religijnych”, czasy, kiedy panowali tacy, jak Henryk VIII, Filip II Eryk XIV.



Bona w sędziwym wieku (autograf J. Matejki).



KACZKI (z wystawy T. Z. S. P.)

KAZIMIERZ PUŁASKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

## ROZMOWY LITERACKIE

II.

EPOPEJA CHŁOPSKA.

Ostatecznie jądrem powieści jest chata Borynów. Maciej Boryna, najbogatszy pono gospodarz we wsi, żeni się powtórnie, około 60-go roku życia, z zalotną i młodą Jagną. Ale w Jagnie kocha się na zabój syn Macieja, Antek Boryna, sam już żonaty z Hanką. Oto główny dramat. Dalej streszczać nie będę właściwej fabuły; piszę dla tych, którzy powieść znają lub poznają; radbym tylko z niej wydobył i uwydatnił niektóre piękności i nauki.

Maciej Boryna, pierwsza powaga w Lipcach, z instynktu tyran i sobek, ma jednak głębokie poczucie godności osobistej i godności gromady, której moralnie przewodzi. Jemu się należy poszanowanie, dowództwo i wszelkie dobro; jego rodzinie — to, co od jego potrzeb i po nim pozostanie; a co jeszcze zbędzie — niechta ma gromada. Taki szkic portretu wydaje się surowym. Jest to jednak charakterystyka każdego niemal bogacza i władcy. Typy altruistyczne są pomiędzy nimi wyjątkami, i bardzo nietrafnie postąpiłby Reymont, gdyby innego człowieka postawił na tem miejscu w Lipcach. W pierwotności życia włościańskiego te rysy uprzywilejowanego przez los występują jaskrawiej, niż naprzykład w tak zwanej arystokracji, są za to uszlachetnione, niejako nawet uzasadnione przez pracę i walkę. Borynowie pracowali lepiej, niż cała wieś, Maciej nie przestaje też pracować w pocie czoła. A gdy potrzeba i gromada go powołuje, staje do walki za sprawę ogółu, nie na żarty, nie wymową, nie drobną ofiarą, ale życiem opłaca swe przodownictwo.

A człowiek to krewki, skąpy, mściwy i bezwzględny. Nie puści z garści własnym dzieciom ziemi, ani dobytku; tem bardziej nie odda Jagny Antkowi. Wypędzi syna z chałupy, chce go żywcem spalić i widłami zakłuć

w brogu, gdzie go zdybał w kazirodnym uścisku z Jagną. Taki już był Maciej Boryna, dynasta na trzydziestu morgach i z dziada pradiada.

Syn jego, Antek, będzie zapewne podobny na starość do ojca. Ale tymczasem jest młody, zawzięty, chciwy ziemi i chciwy Jagny. Nie ma jeszcze tego względnego statku, ani dbałości o ludzkie gadanie, które wyrobił już w sobie stary Boryna. Łakomy i bezwzględny, jak burza, nie cofa się przed zbrodnią: nie porzuca dawnego stosunku z Jagną, choć stała się jego macochą, choć sam żonaty i zapamiętałe kochany przez biedną, bohaterką Hankę. Niesiony przez zemstę przeciw ojcu, który mu przecie zabrał Jagnę, wypędził go z chałupy, chciał zamordować w brogu, dąży ze strzelbą do lasu, gdzie stary Boryna toczy walkę z dworskimi ludźmi na czele gromady. Już ma zostać ojcobójcą, gdy ojciec pada, śmiertelnie rażony przez borowego. Wtedy furja Antka zwraca się nagle, jak wichler, przeciw borowemu. Bójka i zabicie borowego sprowadza komplikacje sądowo-kryminalistyczne (jak wybornie użyte później w budowie powieści!), my zaś widzimy tylko przez chwilę pogodzenie ojca z synem, silne i krótkie wobec nadciągającej na starego śmierci. Ten „głos krwi”, aczkolwiek przychodzi tu w porę i przejmuje dreszczem, jest może mniej uzasadniony, niż inne, sugestywnie przekonywające procesy psychiczne w ogromnej galerii „Chłopów”. Rzecz się tu sprowadza ostatecznie do przypadku. Antek jest już kazirodcą wobec Jagny, okrutnikiem względem Hanki, a w postanowieniu już i ojcobójcą. Autor przemyślnie rozłącza następnie ojca z synem, gdyż Antek idzie na kwartał (na półtora tomu) do więzienia, a Maciej długo i nieprzytomnie dogorywa w chałupie. Więc ma czytelnik pole otwarte dla domysłów, co się tam działo w zbrodniczej Antkowej duszy przez długi czas, zanim powrócił do Lipiec, już po śmierci starego i zajął miejsce po nim w chałupie i w poważaniu wsi całej. — Ponury jest do końca, skruszony niezupełnie (powraca np.

raz jeszcze do Jagny), trapi się bardziej wynikiem swej sprawy w sądzie, niż wyrzutami sumienia. Urosły w nim tylko uczucia obywatelskie (śmiałe wystąpienie przeciw naczelnikowi i szkodliwej dla gminy uchwałę), a razem to powołanie do przodownictwa, te mieszane z dobrych i złych pierwiastków instynkty arystokratyczne, które cechowały ojca. Nadto jednak ciemnych i krwawych plam okrywa tę postać, którą przeczuwamy w przyszłości na czele wsi Lipiec. Tak chciał widocznie autor. Jako do artysty, żalu za to mieć do niego nie możemy.

Odwzorowanie wszystkich postaci powieści rozdrobniłoby tylko pomysł i wrażenie „Chłopów”, których tematem głównym nie jest bynajmniej „romans”. Trzeba jednak przyrzeć się bliżej jednej jeszcze, kapitalnej postaci — Jagnie.

To nie aktorka w zawikłaniu dramatycznym, nie prosta sobie zalotnica, o którą się gryzą chłopi. Jest w tej kreacji Reymonta więcej; jest typowy los kobiet pięknych i dobrych, które pofolgują sobie w swych przyrodzonych porywach do rozkoszy. Że obyczajność kobiet jest jeszcze za naszych czasów obwarowana przez wszystkie przepisy prawne i moralne, odwieczna walka chciwości i zawiści, cechująca społeczeństwa ludzkie, nabiera pozorów sprawiedliwości, gdy się skrępi na t. zw. „kobietę upadłą”. Taką można bezkarnie krzywdzić, szkalować, wyrzucić ją wreszcie ze społeczeństwa, jak tę Jagnę, którą ostatecznie cała gromada, prowadzona przez rozjuszone baby, wywozi, pohańbioną i pobitą, na wozie gnoju poza granice Lipiec. Zapewne Jagna była kary godną. Ale, jak w społeczeństwach żywych, tak w tej osadzie chłopskiej, genialnie stworzonej, rodzi się pytanie, czy nie zarobili sobie raczej na wygnanie ze wsi taki kowal-szachraj, albo jędza-Jagustynka, albo nawet i wielki grzesznik, Antek Boryna? Rozumie to Mateusz, chłop serdeczny, zresztą zakochany w Jagnie, gdy broni jej do upadłego, nie językiem, którego nigdy nie trzymał na uwięzi, lecz w tej

ostatniej katastrofie—kijem. Autor maluje od początku do końca swą Jagnę z lubością; osiąga też skutek, że jest ciągle zrozumiana i niemal rozgrzeszona przez czytelnika. I pod koniec powieści nie zohydza nam tej nimfeczki wiejskiej, pomimo strasznej sceny finalnej; wieś tu jest ohydna, nie Jagna. Przecie ostatecznym powodem rozstrożenia wsi jest miłość Jagny bezgrzeszna do Jasia organistowego, i oszczerstwo, że zrujnowała wójta. Więc, gdy ta dusza zaczęła się niejako podnosić, wtedy ją zhańbiono, napiętnowano, zabito. Od sprawiedliwości Chrystusowej względem Magdaleny ten samosąd chłopski wcale odmienny.

Niepodobna wyliczyć rysów subtelnymi, którymi Reymont cieniuje zewnętrzną i wewnętrzną istotę Jagny. Dość rzec, że ta rumiana dziewczka modrooka staje się dla nas, więcej wymagających, ponętną, nawet gdy kopie kartofle, albo moczy nogi w stawie. A jeszcze lepiej, że jej psychika zajmuje nas, jak dzieje równego nam stworzenia, nie zwierzęcia, lecz kobiety. Wierzmy, że jest piękna, że w gruncie szlachetna, nie o ziemskich tylko dobrach myśląca; że zdolna do marzeń i poświęceń; Ma wady: krew ją niesie, do rozkoszy poprzez granice obowiązujące. Ale czy to nie sama krasa i pokusa pól naszych i wiosny, wcielona w żywą istotę? Tak sobie przemyślamy o niej, a chytry autor śmieje się, że nam pomieszał w głowie nasze niezłomne przekonania o moralności.

O ile te „dzieje grzechu” prawdziwsze, niż popularna powieść Żeromskiego! O ile więcej światła rzucają na psychikę kobiecą i na moralność społeczną! Nie wiem, czy Jagna dosięgnie rozgłosu Ewy Pobratyńskiej, czy składać będą nad nią prawnicy sądy przysięgłych (szczyt naiwności prawniczo-literackiej!), ale to pewna, że każdy miłośnik literatury pięknej, nie zaś dziwnej, zaliczy do pereł tę część dzieła Reymonta, którą jest Jagna, podczas gdy o Ewie Pobratyńskiej wspominać będzie ze zgrozą, pocieszając się jedynie tem, że nikt takiej kobiety, nawet jej twórca, nie znał i nie zrozumiał.

Historia Jagny jest rzeczywiście częścią, nawet nie osią dzieła Reymonta. Rzeczywistym przedmiotem jest mu Chłop w swych wielorakich odmianach. I dlatego też dzieło jest epeją, i dlatego można mówić o wszystkich naraz chłopach Reymonta, jako o całości.

Wielu już poprzedników w literaturze zadokumentowało świetnie zasadniczy charakter polskiego chłopca—żywiotowe, nieustępliwe przywiązanie do ziemi. Zbyt wielkim artystą jest Reymont, aby ten rys kapitalny i oczywisty lekko traktować dla zyskania sobie taniej oryginalności. Owszem, umiłowanie ziemi pozostaje i tutaj najistotniejszą treścią charakteru chłopca, tylko pojęte bez złudzeń politycznych, realnie, sprawdzone gruntownie na miejscu. Podłożem głębszem jeszcze tego instynktu jest uprawniona żądza każdej istoty urodzonej, żądza życia. Nie wyuzdana chciwość polepszenia bytu bez pracy, lecz pęd przyrodzony do przeżywania się i trwania, jak pociąg niemowlęcia do piersi matki. Ten pra-instynkt wyradza się, oczywiście, pośród istniejących warunków agrarnych, pośród małorolności i ubóstwa chłopca, w czyny i poglądy rozmaitej wartości, często w samowolę, nawet w zbrodnię; nie przestaje wszelako być i główną wartością chłopca dla ogółu narodu.

Takiej teorii sformułowanej niema w tekście epeji, bo być tam nie powinna. Poeta prowadzi do niej przez szereg słów i obra-



WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

zów, przedstawia nadto stan rzeczy, jaki jest, a nie jakiegoby pragnąć należało. Więc jego chłopci mocują się o ziemię między sobą, młodzi ze starymi; targują się nowożeńcy o wiana i morgi; wszyscy pożądadają obszarów dworskich, a las i przyległe do wsi pola tak dalece uważają za swoją ziemię obiecaną, że posuwają się do gwałtów: przez siłę zabraniają dziedzicowi rąbać, wypędzają bez ceremonii Niemców-kolonistów, którzy chcą kupić od właściciela grunty na Podlesiu. Nie oszczędza autor skutków samowoli Lipczakom: za bójkę w lesie z dworskimi ludźmi cała niemal wieś idzie do kryminału. Nie różowo też maluje stosunki ekonomiczno-prawne wewnątrz wsi: los starców, którzy „odpisali” dzieciom ziemię i „poszli do nich na wycug”; niechęć dzieci do opornych i dzierzących rodziców; zawiść komorników do gospodarzy, wogóle biedniejszych do bogatszych—całą orgię pożądania ziemi, z którego rodzą się setki cichych i głośnych dramatów.

Ale obok pożądlivosti cudzego jest i wzruszająca miłość ziemi własnej, płynąca ostatecznie z tego samego pra-instynktu.

Tę miłość dokumentuje autor w nieprzeliczonych scenach i obrazach. Szczytne są takie, jak śmierć starego Boryny, zrywającego się z łoża w malignie ostatniej, aby siać i upaść na rodzinnym zagonie. Albo przegląd pól w początku „Wiosny” przez wracającą z zebrów do wsi Agatę! Albo wspaniałe karty czwartego tomu, gdy Szymek zakłada sobie nową siedzibę na kupionych od dziedzica jałowych sześciu morgach! Ów Szymek, wczoraj wątkoń, popychany przez matkę, dorwał się do ziemi własnej. Jak się do niej przypiął, jak ściele gniazdo sobie i umiłowanej Nastce, jak wyrasta w swoim żywiole, budzi poszanowanie, a nawet miłosierdzie zatwardziałych swojaków—to trzeba przeczytać.

Ogromne umiłowanie tchnie zresztą ciągle ze słów poety, który nieosobiście śpiewa za całą wieś jakąś inkantację nad nią i jej losami, nie słabnąc nigdy, niby głos organu, przystosowany do wszystkich zajęć, charowań, niedoli, radości, świąt, zwyczajów chłopca polskiego, które długim różańcem, na cztery pory roku podzielonym, przesuwają się, bez opuszczenia pono jednego ziarenka. Epeją to istotna—nie powieść obyczajowa lub psychologiczna, lecz zbiór takich powieści, cudownie podporządkowany wielkiej pieśni o dziejach wsi polskiej społecznej.

Nie pominął Reymont i polityki. Ale zabiera ona tyle miejsca, ile jej jest w życiu naszego chłopca, czyli bardzo mało. Ogranicza się do słabych, sporadycznych aspiracji narodowych. W pierwszych tomach w posta-

ci Rocha, kochanego gawędziarza, nauczyciela dzieci, doradcy starszych, przeczuwamy osobę „nieprawomyślną”, gdyż niesie ludową żdźbła swojskiej, zakazanej oświaty. Potem Jacek, brat starego dziedzica, szuka po wsi zmarłego już Kuby, towarzysza z jakiejś wojny. Zaczyna się to nam nie podobać, pachnąc niebezpieczeństwem. Jakoż coraz częściej strażnicy przepytują się o Rocha, zjawiają się wreszcie i żandarmy. Przesącza się też do powieści wiadomość, że naczelnik każe powziąć gminie „dobrowolną” uchwałę o budowie szkoły urzędowego typu. I w czwartym tomie jesteśmy świadkami tej uchwały. Jest i agitacja przedsejmikowa, ze strony urzędów przez wójta, kowala i t. d., a z łona wsi—przeciwna. Budzą się temperamety polityczne: rozumny i wytrwały Grzela, porywczy Mateusz, zacięty i oporny Antek. Błyska już nadzieja, że naczelnikowy projekt odrzucą, cała prawie gmina jest przeciwna. Ale, dzięki silnej wymowie naczelnika i kunsztowi pisarza, uchwała o budowie nowej szkoły jakoś przechodzi... Za to tem pilniej poszukują Rocha żandarmy. Wprawdzie Lipczaki dają dowód solidarności obywatelskiej, ukrywając sprytnie Rocha i ułatwiając mu ucieczkę—tylko nasza biedna, skrępowana do bezwładności polityka na tem się kończy.

I tutaj nie pomylił się Reymont. Uświadomienie płynie od dworu (pan Jacek), lepsze i rozumniejsze indywidua zbyt są rzadkie, tłum ciemny i apatyczny pod względem narodowym. Wroga biurokracya może jednostki wyłowić, a tłum przemocą lub podstępem zniewolić. Potrzeba zaś oświaty, pragnienie współpracy z innymi warstwami społecznymi istnieje w chłopie polskim, dopiero jako świt błądy.

Z powyższych uwag wynikałoby, że Reymont czarno maluje chłopów. Jest inaczej. Reymont, jako szczery epik, zatem znawca i artysta, nie przechwala chłopów dla jakichś celów pseudo-patriotycznych, lecz przedstawia ich takich, jacy są. Idealizuje ich tylko tyle, ile potrzeba dla sztuki: wybiera, przebiera i celowo układa te cechy główne i nieodłączne, które mu do prawdziwego i przejmującego obrazu pasują; nie tworzy chłopca, aby się jakiej partyi podobał, lecz takiego, jakim go bystrym wzrokiem i potężnym talentem ujrzał i pojął. Tworzy go przy ziemi, jednak ponad ziemią, w tej atmosferze sztucznej, a prawdopodobnej, w której tak trudno utrzymać się. Uduje mu się to zupełnie, ku zadowoleniu własnego popędu twórczego, ku rozkoszy czytelnika. Przychodzą nam na pamięć wszyscy znajomi chłopci, wszystkie wrażenia wsi polskiej. A jednak jakby przez nowość olśnieni jesteśmy przez tę wieś Lipce, tak pełną życia, tyle dającą do myślenia.

Prawda, mówimy sobie, grzeszni są i ciemni ci nasi rodacy, ale jaka w nich żywiołowa siła! Ile zasobów dziewiczych, łatwych do wydoskonalenia! Z tego umiłowania zagonu musi kiedyś powstać miłość ojczyzny; ta silna wiara pierwotna dosięgnie kiedyś szczytów nauki Chrystusowej. A jaka tam „dobrość” jest na dnie w tych duszach, gdy zwierzę się nasyci i uśpi! Jaki rozsądek, fantazyja, humor! jaka odporna na niedolę wesołość i ochota do życia! Jaka odwaga i pogarda śmierci! Warto z wami żyć, „ludzie kochane”; pięknie u was w Lipcach, choć trzeba żdźbko poprawić. „Budowali będziemy społecznie...”

Tym podobne myśli tchnie w nas poeta swą pieśnią, szczerą, jak troska o siebie samych, przejmującą, jak życie.



NA SCHYŁKU (z wystawy „Odlam” w T. Z. S. P.)

TEODOR ZIOMEK

BOLESŁAW PRUS:

## Róża i kapusta.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W tygodniku *Świat* p. Jan Lemański, wielkiego talentu satyryk, ogłosił „bajkę” p. t. „Pożytek i Piękno”. „Dla jednego, mówi autor, jest dobrem to, co się spożywa: mięso, drób, ryby, grzyby, chleb, lub coś z warzywa. Dla innych, mniej spożywczo patrzących na światek, dobrem będzie, przypuśćmy, ot, błaha rzecz—kwiatek”.

W „bajce” symbolem pożytku jest kapusta, symbolem piękna—róża, która do swojej współzawodniczki w taki sposób przemawia: „Choć nakarmiasz tłumy, nie może być użyty liść twój na perfumy. A mojej woni zawsze drogie ludziom fale. Po tobie zaś zjedzonej człek przewietrza salę”.

I nareszcie autor dorzuca od siebie: „Tu dodam jeszcze morał tyli, wszelka rzecz pożyteczna na nic bez wentyli. Bo tam, gdzie o pożytek ludzie się kłopotą, tam nie pachnie ni za dnia, ni tem bardziej nocą... O ty, liściu obszerny, nazwany pożytkiem, aczkolwiek pożytecznym jesteś czemś, lecz brzydkim. Róża, chociaż jej niema w jedzeniowym menu, dla jej woni królewskiej świat jest w uwielbieniu! O! kwiecie, kwiecie piękna, choć nie pożyteczny, jesteś, jak dech, niezbędny i, jak duch, konieczny”.

Ośmielę się zwrócić uwagę, że szanowny autor, wołając: „O kwiecie piękna, choć nie użyteczny”... popełnił świadomą czy nieświadomą omyłkę. „Kwiat piękna” jest użyteczny i nawet bardzo. Jak ciało dla podtrzymania sił materyalnych potrzebuje: „mięsa, ryb,

chleba, lub kapusty”, tak duch dla podtrzymania sił swoich, czyli duchowych, potrzebuje: radości, nadziei, miłości, a dalej potrzebuje: różnorodności w jedności, harmonii, proporcji, rytmu... Nie dość na tem. Żołądek domaga się: „drobiu, grzybów, lub czegoś z warzywa”, a wzrok żąda barw żywych i łagodnych, blasków i cieniów, ucho potrzebuje tonów czystych, akordów, taktów, melodyi, węch—zapachów i t. d.

Przypominam to bez nacisku, pewnym będąc, że p. Lemański, równie dobrze, jeżeli nie lepiej ode mnie, rozumie, iż: *piękno* jest naprawdę *użyteczne*. Domyślam się, że autor ostrze swej głęboko sięgającej satyry skierował nie przeciw idei pożytku, która jest nie tylko nieśmiertelna i wielka, lecz i niezbędna w życiu narodów. Zadrwił on w sposób niepospolicie wytworny z naszej wady narodowej, którą nazwałbym: estetyką filistrów. Ten gatunek estetyki objawia się w dwu formach. 1-mo: Filistra nie tylko rozczulają, ale i pochłaniają piękności banalne: słowiki, róże, zachody słońca, blady księżyc, a nadewszystko ONA, ona piękna, dumna i, koniecznie, ubrana w szatę powłóczystą. Jeżeli dodamy jeszcze „brylantowe krople rosy” i „cichy szmer strumyka”, to ogarniemy cały wszechświat filisterskiego piękna, poza którym nie widać już nic. Ani piękna potężnie działających maszyn, ani piękna pracujących robotników, ani piękna uprawiających ziemię chłopów, ani piękna w formach i życiu kapusty, szczawiu i innych skromnych roślin, które trzeba oglądać na łące, w wiejskim ogródku, albo w pracowni botanika. Tem bardziej, dla filistra nie istnieje piękno formuł matematycznych, piękno doświadczeń fizycznych i chemicznych, piękno wynalazków, piękno życia społecznego i t. p.

2-o. Wszystko, co nie jest brylantową

kroplą rosy, księżycem w pełni i rozmaitemi częściami garderoby JEJ, filister uważa za poziome i brzydkie. A już wcale nie przychodzi mu na myśl, że—fundamentem piękna są, niestety! rzeczy użyteczne, a nawet płaskie, jeżeli nie brzydkie. Muzyka nie istniałaby bez metalurgii, stolarstwa i obrabiania kiszek baranich, cudna róża domaga się nawozu, a złote włosy JEJ nie obejdą się bez gęstego grzebienia. Kto więc lekceważy drobne pożytki, usuwa deskę z pod nóg pięknu.

Wyobrażam sobie zdumienie czytelnika, który miałby ochotę zawołać: czego chce ten dziwak swoim wykładem estetyki i co to ma za związek z ważnymi sprawami naszego życia?

A otóż ma... Dzięki filisterskiej estetyce, wśród naszych warstw dostatnich i zamożnych panuje gorszące lekceważenie pracy i jej praktycznych rezultatów, a naodwrot modny jest „kult piękna” anemicznego i oklepanego, jeżeli nie wręcz idiotycznego i potwornego. Piękno jest niezgodne z pożytkiem—oto hasło. A ponieważ hodowanie dzieci jest użyteczne i szanowanie cudzych pieniędzy także użyteczne, więc kradzież i dzieciobójstwo należą do sytuacji pięknych... Nie wierzy pan dobrodziej?... Więc niech pan czyta beletrystykę współczesną i przysłuchuje się najmodniejszemu gustom. Dzięki też filisterskiej estetyce mamy legion młodzieży, śniącej o malarstwie, koncertach, sztukach teatralnych, armię kandydatów na artystów, ale... mało techników, i to nieraz w najważniejszych gałęziach pracy.

Między innymi—„sprawa oświetlenia miast gazem—mówi inżynier Bańkowski—dotychczas nie budziła w kraju naszym zainteresowania. Przemysł gazowy jest u nas bardzo mało upowszechniony, a i ten, jaki istnieje, spoczywa w rękach obcych. Stąd wynika zupełny brak znajomości zarówno ze strony technicznej, jak

i finansowej tej gałęzi przemysłu, a co za tem idzie, brak zainteresowania się nią i mała jej popularność. A tymczasem zagranicą nie ma prawie drugiego przemysłu, który cieszyłby się podobną popularnością i tak zaprzętał umysły mieszkańców miast, jak przemysł gazowy... Równoległe z tem zagranicą wytworzyła się cała armia techników gazowych, gdy u nas w tej gałęzi brak zupełnie wykwalifikowanych sił krajowych. A tymczasem konkurująca z gazem elektryczność posiada wśród naszego społeczeństwa tysiące fachowych sił, zwalczających przemysł gazowniczy, dążących do przechylenia opinii publicznej na stronę elektryczności".

W nawiasie dodam, że inżynier Bańkowski jest dyrektorem fabryki gazu oświetlającego w Lublinie i bodaj że jednym z najgruntowniejszych u nas znawców nie tylko sprawy gazownictwa, lecz oświetlenia wogóle.

Dlaczego kwestya gazowa jest tak ważna? odpowiem na podstawie rozprawy p. Bańkowskiego. W zachodniej Europie prawie niema miasta, liczącego 4,000 do 10,000 ludności, które nie posiadałoby gazowni, bardzo często zbudowanej i eksploatowanej przez miasto. We Francji np. jest 1,150 miast, oświetlonych gazem, w Niemczech 1,250, tymczasem w całym państwie rosyjskim niema nawet 30 miast, oświetlonych gazem, a u nas tylko—pięć!...

Osmięlę się zwrócić szczególną uwagę czytelnika na poniższe słowa: fabryki gazu oświetlającego są, poprostu, skarbnicami. Fabryki podobne, prowadzone przez miasto, nie tylko darmo oświetlają ulice i budynki publiczne, ale jeszcze przynoszą ładny dochód. W Paryżu przedsiębiorstwa gazowe dają 25 procentów czystego zysku, u nas Tow. dessauskie wypłaca akcyonaryuszom przeszło 10 proc. dywidendy. Nie dbać więc o posiadanie własnej fabryki gazu jest to samo, co wyrzucać za okno klejnoty.

Powie kto: nie dbamy o gaz, ponieważ zdetronizowała go elektryczność... Zanim odpowiem szczegółowo, nadmienię o stosunkach paryskich. Otóż w mieście tem, które posługuje się i olejem, i stearyną, i naftą, i elektrycznością, w roku 1896 trzy czwarte ogólnej ilości światła dostarczała gaz, a mniej niż siedemnastą część—elektryczność.

Ponieważ Francuzi odznaczają się praktycznością, więc już z tego przykładu wnieść można, że gaz opłaca się lepiej, aniżeli elektryczność. Tak jest, i prawdy tej z niezwalczoną siłą dowodzi p. Bańkowski, ubolewając, że: „opinia publiczna pchnęła miasta nasze na bezpłodną i zgubną drogę instalacji elektrycznych do oświetlania, nie dając się rozwinąć przemysłowi gazowemu, który stwarza cały szereg przemysłów pokrewnych i staje się podstawą dobrobytu miast”.

Destylacja węgla kamiennego w fabrykach gazowych daje nie tylko gaz, ale jeszcze: koks, smołę gazową i wodę amoniakalną. Ze 100 kilogramów węgla, kosztującego u nas kop. 120, fabryka otrzymuje: gazu za 210 kop. i pobocznych produktów za 130 kop. Widzimy, że owe uboczne produkty równoważą cenę węgla, wartość więc gazu pokrywa koszty eksploatacji, amortyzuje kapitał zakładowy, no—i w rezultacie musi przynosić wielkie zyski.

A elektryczność?... Cudowny ten czynnik natury, wedle rachunku p. Bańkowskiego, ani jako źródło ciepła i światła, ani jako źródło siły mechanicznej, nie wytrzymuje porównania z gazem. Jako siła—elektryczność jest przeszło dwa do trzech razy droższa od gazu; jako źródło ciepła i światła, elektryczność jest przeszło dziesięć razy droższa od gazu. A przy-

czynna tego bardzo prosta. Kiedy bowiem fabrykacja gazu wydobywa z węgla kamiennego 80 proc. energii, to wytwarzanie elektryczności z węgla dostarcza zaledwie 6 proc. istniejącej tam energii! Innemi słowy: jakaś obora teoretycznie powinna dostarczyć sto garncy mleka, lecz dzięki rozmaitym stratom, dójka gazowa wyciska tylko 80 garncy, a dójka elektryczna zaledwie 6 garney. Oczywiście marnotrawstwo energii.

Praktycznie wygląda to tak. W Galicyi miasto Przemyśl jest oświetlone elektrycznością, miasto Jarosław gazem. Otóż—Przemyśl był oświetlony gorzej, choć wydatkował więcej; prywatni zaś odbiorcy płacili pięć do sześciu razy drożej za prąd, aniżeli Jarosławiaczy za gaz. Nadto—w Przemyślu elektrownia nie dawała żadnych zysków, podczas gdy w Jarosławiu fabryka gazu przynosiła kilkanaście, a potem kilkadziesiąt tysięcy koron rocznie.

Według rachunków p. Bańkowskiego możnaby mieć elektryczność taniej, ale pod warunkiem, że: wytwarzałoby się ją przy gazowni, jako produkt uboczny.

Wszystkie powyższe uwagi i rachunki mają w tej chwili ogromną praktyczną doniosłość dla... Wilna. Czcigodne to miasto posiada samorząd, a więc mogłoby decydować o systemie swojego oświetlenia, mogłoby mieć zyski z gazowni. Na nieszczęście ojcowie tamtejsi albo nie znają kwestyi oświetlenia, albo nie dbają. Więc, zamiast posiadać dobre i zyskowne światło gazowe, mają nieosobliwe i bardzo drogie światło elektryczne. Czy głos p. Bańkowskiego doleci aż do Wilna i wywoła w radzie miejskiej konieczne uchwały? Niedługo powinniśmy przekonać się.

A u nas, w Warszawie?... U nas stosunki tak się ułożyły, że po upływie z górą pół wieku od założenia gazowni miasto nie tylko nie jest jej właścicielem, nie tylko nie ma żadnych zysków, ale jeszcze dopłaca około 90 tysięcy rubli i ma szanse, że do roku 1941 zapłaci ogółem przeszło trzy miliony rubli. A tymczasem Tow. dessauskie, które w chwili otworzenia gazowni posiadało półtora miliona marek gotowizny, dziś w aktywach posiada 62 miliony marek i, jak wspomnieliśmy, wypłaca 10 proc. rocznie swoim akcyonaryuszom.

Fundamentem tego rodzaju stosunków jest fakt, że Warszawa nie posiada samorządu, a więc o interesy jej troszczą się nie obywatele, lecz urzędnicy. Oni zawierali kontrakty, które na niejedną jeszcze stratę i kłopot mogą narazić miasto. Chciał temu zapobiedz niezapomnianej pamięci prezydent Starzyński; wówczas jednak powołani przez niego do narady obywatele tak dalece nie rozumieli interesu, że, zamiast wybudować własną gazownię, przedłużyli kontrakt z Tow. dessauskiem do roku 1906.

Na kilka lat przed tym terminem zabierał głos i wyjaśniał sprawę gazowni mecenas A. Suligowski, lecz nie zdążył niczego wywołać w otaczającej pustyni. Tyle tylko zrobił, że, dzięki jego inicjatywie, Stowarzyszenie właścicieli nieruchomości, przez odwołanie się do ministerjum, zapobiegło obniżeniu opłat na rzecz miasta. Gdyby nie odpowiedni memoriał, Warszawa zapłaciłaby do 1941 roku nie 3 miliony, ale około 9 milionów rubli!...

Nie mogę lepiej zakończyć powyższych rozważań, jak wyjątkami z artykułu p. E. Dutlingera, niedawno drukowanymi w gazecie *Dzień*: „Żalimy się na czasy, na losy, a nie na własną nieudolność. Złych czasów niema, są tylko ludzie źli, leniwi, mało kulturalni i nieodolni. Nawet uciążliwy stan polityczny nie może być przyczyną bierności w walce eko-

nomicznej... Powinniśmy walczyć przedewszystkiem o dobrobyt, bo wtedy i politycznie coś znaczyć będziemy, a wzór trzeba wziąć z Amerykanów... Business to nie znaczy „interes”, lecz praca, dobrze zorganizowana, dobrze podzielona, dobrze uporządkowana i świetnie wykonana. Praca—dla rolnictwa, handlu i przemysłu. Sztuka i literatura to środki wytchnienia po pracy.”

Słowem, p. Dutlinger stawia „kapustę” pożytku wyżej od „kwiatu” piękna.

## Wystawa uczniów

### Szkoły Sztuk Pięknych.

Jako wynik pięcioletniej działalności pedagogicznej warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, dotychczasowy jej dyrektor, p. Kazimierz Stabrowski, urządził w Salonie Sztuki Kulikowskiego zbiorową wystawę prac uczniów z całego okresu trwania Szkoły. Co bezwarunkowo podnieść należy, to bardzo jasno zdecydowany kierunek, w którym szkoła była prowadzona. Czy kierunek ten dobre wykaże wyniki? trudno przesądzać—dotychczas bo-



Portret fantazyjny (z wyst. uczniów „Warsz. Szkoły Sz. P.”) Mal. P. Boruciński.

wiem instytucja nie wydała ani jednego samodzielnego artysty. Oryginalność kierunku polega na tem, że okres wychowawczy rozpoczyna od szkicu, t. j. od formy, która dotychczas uważana była za najtrudniejszą i miała dopiero znaczenie w sztuce w chwili, gdy uprawiał ją mistrz skończony.

W nawale wystawionych studyów są wyłącznie szkice, wiele z nich nawet udatnych, niewiadomo tylko, czy ich twórcy będą kiedyś umieli obraz namalować. W żadnej ze znanych mi uczelni artystycznych nie zauważyłem tak niewolniczego naśladowania profesorów, jak w akademii warszawskiej. Wszyscy uczniowie rzeźby zapałali się w swojego mistrza z takim zachwytem, że ten zachwyt mroczy im nieco plastyczną wizję natury. Szkoła rysunków z modelu również jest pod widoczną sugestją prof. Krzyżanowskiego.

Najwydatniej zaznaczył swój talent p. Michał Boruciński. Jest to jeszcze materyał, ale sądzę, że z materyału tego urobi się pierwszorzędnego artystę, szczególnie jako kolorystę. Zupełnie dobre jest studyum damy w białej sukni na tle krajobrazu. Tegoż artysty wyróżniają się studya pejzażowe, szczególnie nieba. Wśród malowanych aktów odznacza się kobieta leżąca w profilu. Próbkę kompozycji p. Czerlanisa są bardzo jeszcze naiwne. Dużą część wystawy zajmują afisze, ornamenty i grafika, trzymane wyłącznie w stylu modernistycznym—bez udziału dążeń samodzielných.





WYSTAWA ANTYALKOHOLICZNA. SKUTKI PIJAŃSTWA W OBRAZACH.

## ALKOHOL.

### I.

Z poza szynku szyby mętnej  
Skrzą się oczy rozjuszone,  
I wylata krzyk namiętny,  
Deliryacki wybuch: „Płonę!  
Płonę! Ogniem ogień gości,  
Niech mnie pali i przepali”.  
To Poe’go duch—w przepaści,  
Znów wcielony—znów się wali.

### II.

Żaden jad tak nie zabija,  
Tak zdradziecko, a miłośnie,  
Jak ten wampir, co się wpija  
W serce, szepcząc baśń o wiośnie.

Czyni gruzy i zwaliska  
Ze świątyni, szczerej marnie,  
I wysysa mózg—i ciska  
W rozpacz, w obłąd, w noc, w męczarnie...

### III.

Na ludzkiego bytu szczycie,  
Na zawrotnej wysokości  
Stoi ten, co przeznał życie  
W nimbie gwiazd i w zórz jasności.

I znienacka się podkrada  
Demon, z niskich żądź pieszczotą—  
I z wyżyny geniusz pada  
Z porwanemi skrzydły—w błoto!

### IV.

Patrz! Ze zgrozą w dzikich oczach,  
Z przerażeniem w zbladłych licach,  
Na szaleństwa strasznych zboczach  
Drży cień w lęku błyskawicach.

Cień potężnej ludzkiej duszy,  
Co w zawrotnym wirze złata—  
I larw tysiąc w szpon katuszy  
Chwyta rozum deliryata.

### V.

Jak na cmentarz, pełny trwogi,  
Cmentarz ludzkich duchów—iście,  
Patrz, człowiecze, na te progi,  
Co cię wabią tak ognicie.

Duch ów, który ku lazurcom  
Promienistym strzelał słupem,  
Jest obłądu rzucon chmurom  
I gnijącym będzie trupem.

### VI.

Z mgły czerwonej, z bagien czarnych,  
Z krain klątw i przerażenia,  
Idzie drogą widm cmentarnych  
Demon nędzy i zniszczenia.

Kędy stąpnie, tam kwiat zmięty  
Ginie w hańbie, w łzach i w bólu...  
Stój! on idzie!

Bądź przeklęty,  
Arymanie—alkoholu!...

## PRZECIW KIELISZKOWI.

Ilustracja, zamieszczona wyżej, jest nie tylko najpiękniejszym może objektem na wystawie antyalkoholycznej. Jest jeszcze najwymowniejszą ilustracją szkodliwości pijaństwa.

Wystawa ma być lada dzień zamknięta. Na pożegnanie trzeba jej powiedzieć, że była urządzona bardzo starannie, z dużym nakładem pracy. I—że się udała.

Udała się, bo oto każdego z dwóch dni świątecznych zwiedziło ją po parę tysięcy osób. To nie była tylko sceptyczna inteligencja. To byli przedstawiciele tych warstw, do których twórcy wystawy trafić chcieli, do których przede wszystkim trafić należało. Z nich składały się gromadki, przystające przed wymownymi obrazami francuskiego malarza, kiwając głowami i robiąc szeptem uwagi. Bo przykład ten leży o miedzę ich własnego życia.

Nie myślcie jednak, że tylko ten obraz był na wystawie. Ale był to argument najwymowniejszy. Tendencyjne obrazy polskie, dość rozwichrzone, nie udały się: były *sknocone*. Ale twórcy pożytecznej wystawy zebrali jeszcze szeregi wymownych cyfr, ilustrujących skutki pijaństwa, diagramy budżetów rodzin ubogich, oddanych alkoholowi i wstrzemięźliwych, i wiele, wiele innych pożytecznych okazów. Wszystko starannie i objaśniane przez gorliwych członków Komitetu.

Powtórzmy jeszcze raz z naciskiem, że inicjatorzy wystawy dokonali dzieła pożytecznego i że należy im się uznanie. Na dobro wystawy zapisać trzeba jeszcze, że była urządzona pod skromnym hasłem wstrzemięźliwości, a nie abstynencji bezwzględnej.

Nie tylko dlatego podkreślamy ten charakter wystawy, że pozbawiał ją cech doktrynerskich. Ale i dlatego, że przeciągnięta została linia demarkacyjna między wystawą a naszym ruchem abstynenckim. Niestety, wyszło jej to na korzyść, podniosło jej powagę. Dziwne bowiem koleje przechodzi nasz ruch abstynencki!

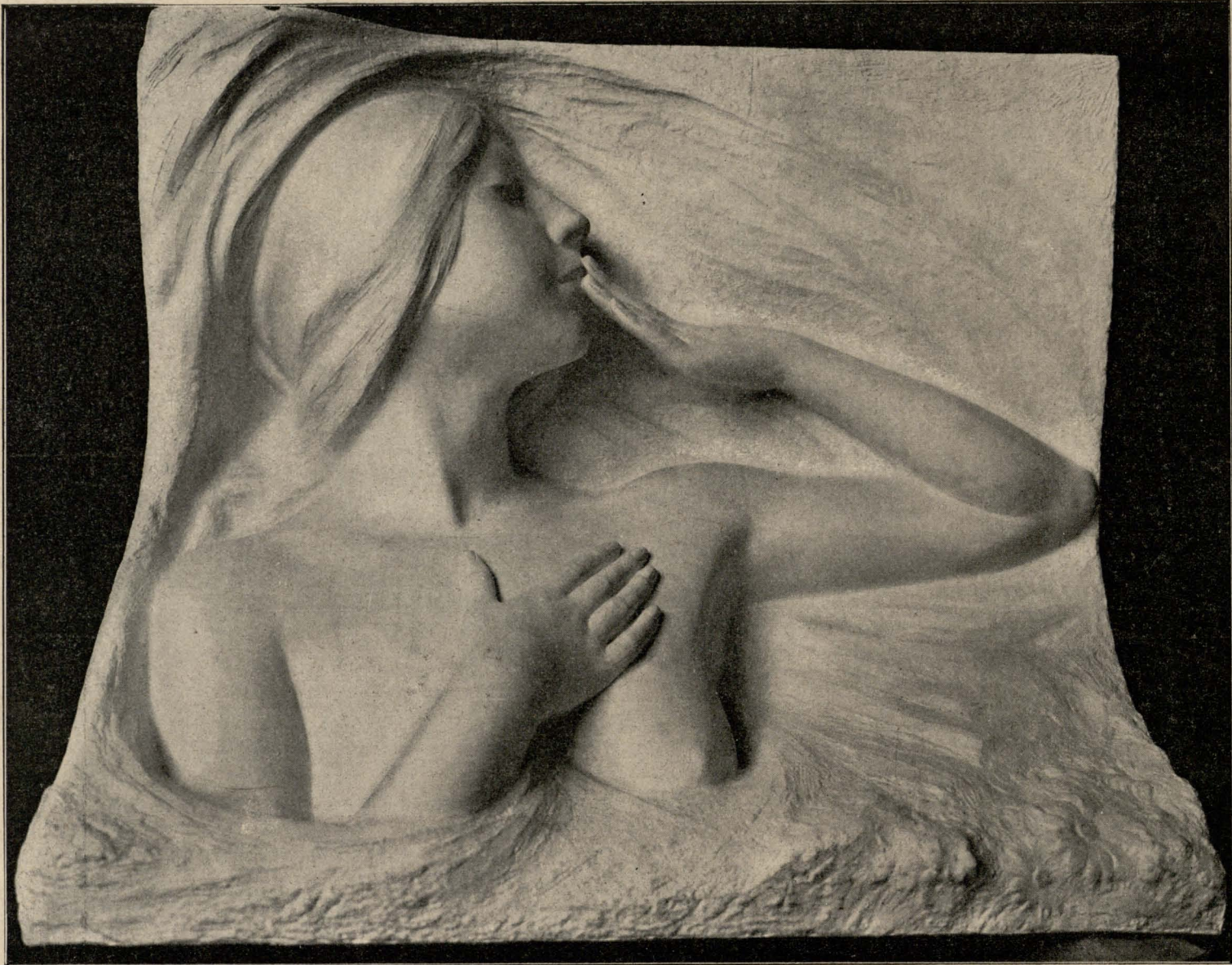
Gdzieindziej na czele ruchu w kierunku wstrzemięźliwości stoją uczeni tej miary, co Förel, przy wspólnym dobrym warsztacie podają sobie ręce przedstawiciele różnych kierunków społecznych, wybitni duchowni i wybitni socjaliści.

U nas nadaje się czyste tytuły pismom, szerzącym pornografię pod płaszczykiem abstynencji. U nas czytaliśmy niedawno po pismach ogłoszenie publiczne o zapałach miłosnych jednego z najgłośniejszych abstynentów.

Czy poważni zwolennicy doniosłego ruchu społecznego, jakim jest wszędzie ruch antyalkoholyczny, nie zdają sobie sprawy, jak dalece ośmieszają i dyskredytują go niepowołani obrońcy? Czy nie widzą konieczności odłączenia wyraźnie pustych plew od ważkiego ziarna? Czy istotnie nadmierną przywiązują wagę do reklamy dziwactw i ośmieszania?

Jeżeli ruch abstynencki nie szerzy się u nas tak, jakby życzyć mu należało, jedną z przyczyn jest niewątpliwie zrażanie ludzi poważnych, którzy ze wzruszeniem ramion mijają nawoływania jarmarczne i nie narażają się z pewnością na łączenie ich z błazeństwami.

Wystawę antyalkoholyczną oceniać należy jako pierwszą, zupełnie poważną i ważną próbę walki z tem strasznym złem społecznym, jakim jest alkoholizm. Przekonała ludzi, że na tej drodze leży rozwój pożytecznego ruchu, który dotychczas do swego szczytnego celu zdążał u nas dziwnymi manowcami.



„BONJOUR à VARSOVIE” (z Salonu paryskiego r. b.)

ALBERT BARTHOLOMÉ

## WITAJCIE!

Na sąd konkursowy projektów pomnika Chopina zjechali do Warszawy znakomici rzeźbiarze zagraniczni: Emil Bourdelle, Albert Bartholomé, Hektor Ferrari. Witac ich będzie świat artystyczny warszawski, a obok niego i z nim razem znakomity rzeźbiarz polski, także Warszawianin, choć w Krakowie dziś zamieszkały, autor „Pochodu na Wawel”, Wacław Szymanowski.

Wybitnych gości serdecznie wita Warszawa. A nasz *Tygodnik* do dworów i dworków rozniesie charakterystykę ich twórczości wraz z podobiznami ich dzieł najlepszych, składając im także w ten sposób hołd powitalny.

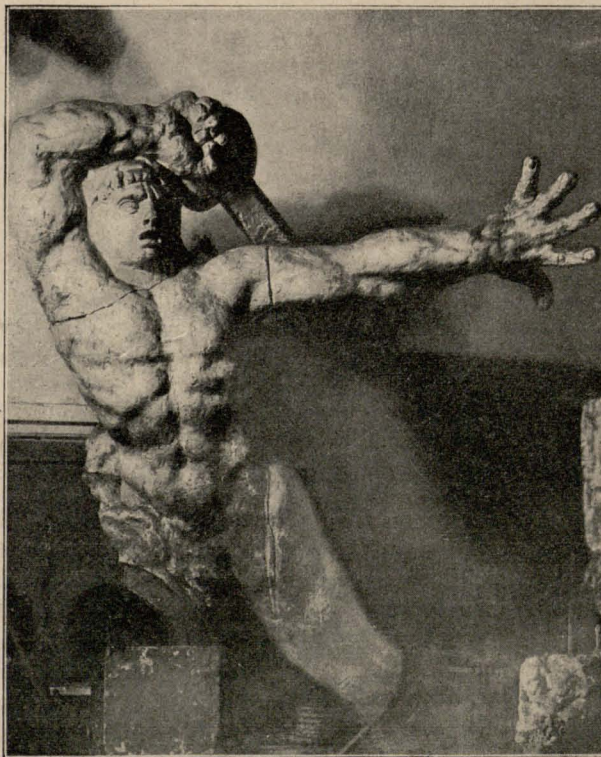
\* \* \*

Znani przyjaciele Polski, inicjatorzy pomnika Mickiewicza w Paryżu, bracia Marius i Ary Leblond, w notatce, specjalnie dla nas napisanej, tak oceniają pracę pierwszego z gości zagranicznych.

„Obok Rodin'a i Bartholomé'go jest obecnie Emil Antoni Bourdelle jednym z największych rzeźbiarzy współczesnych. Jeśli kto chce porównać go z Klingerem i jego współzawodnikami z za Renu, to przekona się, w jakim stopniu sztuka francuska jest wyższa od niemieckiej. Szczególnie chodzi nam o to, aby powiedzieć to Polsce, bo dusza polska i dusza francuska są siostrami,

serdecznie złączonemi, a znajomość sztuki francuskiej może tylko rozwinąć sztukę polską, podczas gdy sztuka niemiecka jest dla niej fatalna, z powodu jej cech mglistych.

„Bourdelle jest jeszcze bardziej Francuzem, niż każdy inny. Pochodzi on bezpośrednio



POMNIK WOJNY (fragment)

EMIL BOURDELLE

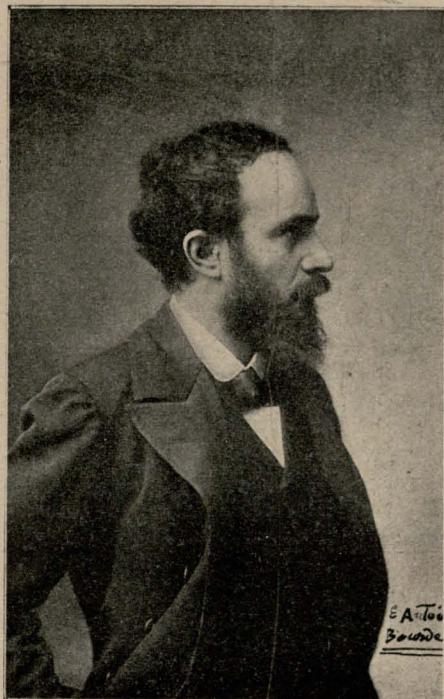
dnio od gotyków; jest przede wszystkim entuzyastą, energicznym, szlachetnym optymistą, a z drugiej strony intelektualistą, artystą, dążącym przede wszystkim do wyrażania uczuć wielkich i podniosłych, ale nie w alegoriach zawikłanych i mglistych, lecz w postaciach realnych, które znajdujemy wśród ludu i w narodzie.

„Jego „Pomnik wojnie” w Montauban jest najpiękniejszym z pomników, wzniesionych na cześć żołnierzy 1870 roku. Jego dziełami, najbardziej podziwianymi, są: „Herkles”, „Pallas”, „Dramat wewnętrzny”, „Dążenia ludzkie”, „Olśnienie życiem”. Wykonał więcej, niż dwadzieścia głów Beethovena, aby dojść w ten sposób do najwyższej doskonałości odtworzenia. Po zrobieniu biustu Ingresa, niezrównanego arcydzieła, pracuje obecnie nad pomnikiem Carpeaux i obmyśla pomnik dla Mickiewicza. Wszystko, co dotąd wykonał, jest wielkie, gorące, soczyste, liryczne i heroiczne.”

\* \* \*

Jeden z najwybitniejszych dziś przedstawicieli sztuki francuskiej, Albert Bartholomé, urodził się w r. 1848, nauki pobierał w gimnazjum klasycznym w Wersalu; karierę artystyczną rozpoczął, jako malarz. Jedną pracą jego z owych czasów, „Głowa wieśniaka”, znajduje się w Muzeum Luksemburskim.

W r. 1887 Bartholomé porzucił malarstwo dla rzeźby i zarazem opuszcza salon



EMIL BOURDELLE.



HEKTOR FERRARI.



ALBERT BARTHOLOMÉ.

specjalny, by przenieść się do ówczesnej secesji, dziś zaś również oficjalnego salonu, „Champ de Mars”.

Rozgłos wszechświatowy zdobywa Bartholomé swym „Pomnikiem dla zmarłych” (Monument aux Morts), zakupionym przez rząd i umieszczonym na cmentarzu Père Lachaise. Fotografie tego pomnika rozchodzą się po całym świecie w setkach tysięcy egzemplarzy. Muzea zagraniczne ubiegają się o prace artysty; znaleźć je dziś można zarówno w Monachium czy Wiedniu, w Dreźnie czy Londynie. Wystawa wszechświatowa w 1900 r. przynosi mu najwyższą nagrodę „le grand prix de sculpture”, otrzymuje również krzyż legii honorowej, najpierw kawalerski, później oficerski, nie mówiąc o orderach zagranicznych.

Niejednokrotnie odznaczany zamówieniami rządu francuskiego, przygotowuje obecnie dla niego kolosalny grobowiec Jana Jakóba Rousseau, przeznaczony do Panteonu. Salon tegoroczny zawiera trzy ostatnie prace artysty. Zapraszany wreszcie do różnych stolic na członka *jury*, zwiedził Bartholomé w ten sposób niemal całą Europę; ostatniem dniem ogniwem tego łańcucha podróży jest Warszawa.

\* \* \*

Hektor Ferrari urodził się w Rzymie w r. 1847. Pierwszym jego dziełem był posąg konny Wiktora Emanuela, ustawiony na zjeździe do Pincio, ku placowi del Popolo. Jego roboty także jest pomnik tegoż króla, stojący na Riva dei Schiavoni w Wenecji. Garibaldiemu wystawił aż sześć pomników; w Vicenzy, Rovigo, Macerata, Pizie, Lorecie i Massa Maritima, albowiem Włochy posiadają tyle pomników konnych i pieszych Wiktora Emanuela i Garibaldiego, że, jak ktoś zauważył, możnaby z nich złożyć dwa bataliony piechoty i jazdy. Najwięcej wrzawy wywołał jego spiżowy pomnik, poświęcony Giordanowi Brunowi, spalonemu przez św. inkwizycję. W Rumunii znajduje się jego „Owidysz”, w Ameryce „Lincoln”, w Argentynie „Pacteco”, w Finlandyi „Verdi”. Do nowego pomnika Wiktora Emanuela w Rzymie stworzył postać „Rewo-

lucyi”. Prócz tego, mają rozmaite włoskie miasta jego prace, między innymi Turyn płaskorzeźbę „Cum Spartaco regnavit”.

\* \* \*

Tak się przedstawiają z konieczności krótkie sylwetki trzech wielkich mistrzów dłuta, których gości w murach swoich nasza stolica. Jeden z nich, Bartholomé, w płaskorzeźbie swojej mówi *bonjour à Varsovie!* Niechże odwrotnie notatka niniejsza będzie zwróconem do gości: *bonjour de Varsovie!*

### EWA POBRATYŃSKA POD SĄDEM.

Podobało się młodzieży polskiej w Petersburgu urządzać sąd nad Ewą Pobratyńską, bohaterką smutnych „Dziejów grzechu” Żeromskiego. Podobało się również garści snobów warszawskich naśladować ów pomysł sensacyjny — i oto Warszawa była w ubiegłym tygodniu świadkiem... skandalu, rzadkiego w dziejach jej kultury.

Niedołężnie zorganizowane przedsięwzięcie, pełne epizodów komicznych, przebieg „procesu”, uwieńczony werdyktem *uniewinniającym* — należą do rzeczy błahych. Nie myślę też bynajmniej zastanawiać się nad tem, zwłaszcza że najlepszą w tym kierunku informacją dla aranżerów było niezadowolone publicznosci, która na zew trąbki reklamowej zapełniła po brzegi wielką salę Filharmo-

nii i wcale niedwuznacznie manifestowała swoje rozczarowanie i niesmak.

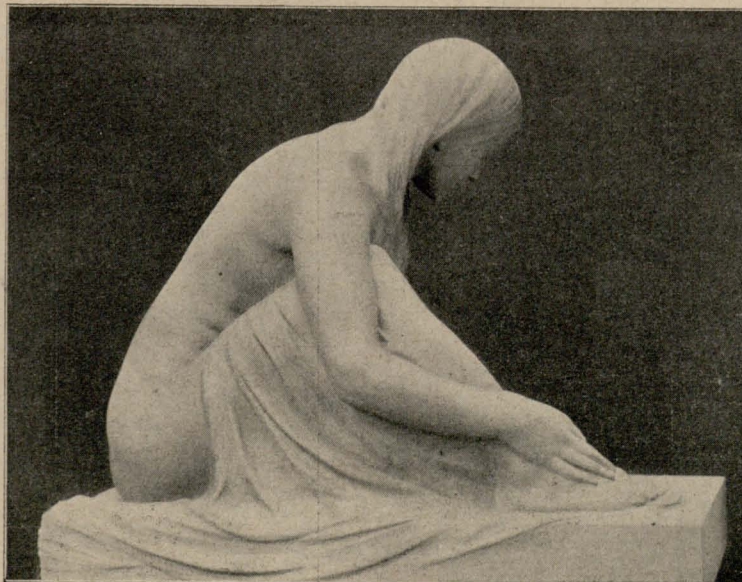
Niepodobna jednak obojętnie przejść obok faktu dziwnej pochopności, z jaką pewne warstwy współczesnej inteligencji polskiej dają się prowadzić w kierunku wszelkiej sensacji. Mieliśmy już tego dowód niejeden na słynnych wiecach „uświadamiających” i odczytach na tematy drastyczne. Obecnie przybywa nam nowy, jaskrawy przykład tego poszukiwania wrażeń mocnych, drażniących, nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że tylko żądza takich wrażeń sprowadzić mogła tłumy na proces Ewy Pobratyńskiej, i że to ów „ogród udreczeń”, jaki stworzył Żeromski, pociągał ich ku sobie niezdrowym urokiem trzęsawisk duszy ludzkiej.

To jedno.

Drugi, bardzo znamienity objaw, który podkreślić i zanotować należy, to stosunek panoszącego się u nas snobizmu — do sztuki. Oto, bez żadnej ceremonii, ściągają się wizję twórczą artysty do poziomu umysłowego „pokątnego doradcy”, czyni się z dziełem sztuki eksperyment jarmarczny, obwiesza się to dzieło pstrym łachmanem hałaśliwej reklamy, wchodzi się brutalnie w butach obłoconych, wprost z ulicy, do najtańszych komór duszy wielkiego pisarza i pod pozorem popularyzowania wyrządza mu się największą krzywdę, bo trywializuje się jego utwór, obdziera się go całkowicie z cech artystycznych i podaje niewybrednej rzeszy, jako zabawę, jako rozrywkę, jako jeszcze jeden, nowy, nieznany dotąd sposób zabijania czasu i podniecania nerwów. Jest to droga prosta i nieomylna do zniszczenia tych nikłych przejawów kultury artystycznej, jaka u nas istnieje. Wątle i słabe jej płonki wymagają pielęgnowania, starań, opieki — tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. Pierwszy lepszy snob wyłamuje te płonki, aby mógł drapać się nimi w pięty i sprawić sobie przy ich pomocy rozkosz... wyrafinowanego barbarzyńcy.

Kto zaręczy, iż za przykładem sędziów Ewy nie pójda inni sędziowie, że za kilka tygodni nie przyjdzie komukolwiek do głowy myśl posadzenia na ławie oskarżonych Łukasza Niepołomskiego, lub bohatera innej powieści, a za kilka miesięcy nie będziemy mieli „Dziejów grzechu” w kinematografie, ze wszystkimi scenami, utrwalonemi na filmach, sprowadzonych z Paryża, gdzie już *l'Assomoir* Zoli od dawna bawi tłumy uliczne.

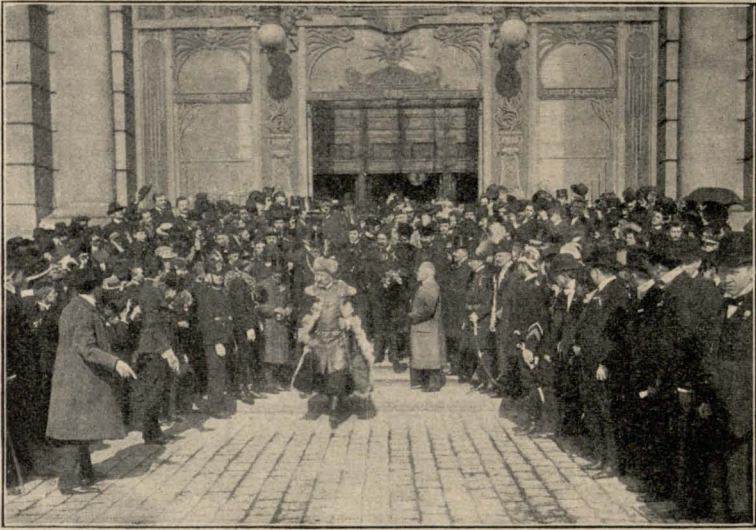
I naprawdę — nie jesteśmy od tego daleko.



PRZED KĄPIELĄ (z Muzeum w Wiedniu)

ALBERT BARTHOLOMÉ

## GOŚCIE WĘGIERSCY WE LWOWIE. POWITANIE NA DWORCU KOLEJOWYM.



Od kilku lat zapanował wśród młodzieży akademickiej rozmaitych narodowości obyczaj wzajemnego odwiedzania. Młodzież polska w Galicyi zastosowała go przedewszystkiem do Węgrów, jako jedynego narodu w Austro-Węgrzech, z którym łączą nas stosunki wyłącznie życzliwe. Nawiązane pierwotnie przez młodzież obu narodów stosunki przyjacielskie rozszerzyły się rychło także i na bardziej rozległe sfery społeczne, obejmując, rzec można, całą inteligencję po tej i tamtej stronie Karpat. Zażyłość ta i krzepnąca coraz bardziej przyjaźń obu narodów znalazła piękny wyraz w wizycie, którą grupa członków parlamentu budapeszteńskiego i delegaci towarzyszy węgierskiej młodzieży złożyli we Lwowie w uroczystym dniu 3 maja. Gości węgierskich, których prowadził bardzo gorący zwolennik zbliżenia polsko-węgierskiego, poseł dr. Ernő Kovacs, powitano i przyjęto we Lwowie z wielką serdecznością i wystawnością. Grzmiące okrzyki „Ejjen“ na cześć „Magyar Orszagu“ (ojczyzny węgierskiej), gorące, prawdziwie węgierskie wiwaty na cześć odradzającej się Polski, dźwięki marszów i hymnów narodowych węgierskich i polskich, kwiaty i mowy przy winie i bez wina wypełniły całe owe dwa dni węgierskie we Lwowie, które niewątpliwie zapisały się trwale w pamięci jego mieszkańców, chociaż złośliwa a wytrwała ulewa przeszkadzała im w nieprzerwanym aplaudowaniu miłych gości.

## ZMARLI.

ADAM STASZCZYK. Kraków stracił jedną z bardzo charakterystycznych swoich postaci. Majster ślusarski i ceniony literat w jednej oso-



bie, Adam Staszczuk, zmarł 30 z. m. w 56 roku życia. Natura gorąca i szlachetna, patriota płomienny, charakter przepiękny i talent niepośledni, oto

co w Staszczuku budziło szacunek i niekłamną sympatię szerokich kół. Widziano w nim i słusznie tak rzadki typ rękodzielniczą, w którym twarde praca rąk nie zdołała stłumić porywów dzielnego ducha, co korzystał z każdej wolnej przy warsztacie chwili, aby temu duchowi dać folgę w utworach, pośpiesznie spisywanych, które długo jeszcze zachowają wartość szczerych wyrazów głębokiego uczucia. Za czasów dyrekcji Koźmiana i Kotarbińskiego nazwisko ś. p. Staszczuka często figurowało na afiszu, jako autora rozmaitych sztuk dramatycznych, z których takie, jak „Noc Świętojańska“, „Kościuszkę w Petersburgu“, „Filarci“ lub „Noc w Belwederze“, obok dużych zalet scenicznych, nie były pozbawione także i pewnej wartości literackiej. Zajęcia literackie nie przeszkadzały Staszczukowi w osiągnięciu rzadkiej doskonałości w zawodzie ślusarskim. Z pracowni jego wyszło wiele wyrobów dużej wartości artystycznej, jak np. misternie kute bramy kościelne, kraty do chórów klasztornych i t. p. Obowiązki społeczne spełniał również z zapałem. Gorący zwolennik idei sokolej, był też jednym z najczynniejszych członków drużyny krakowskiej, do której wspaniałego rozwoju przyczynił się znacznie. Ze Staszczukiem zesłała do grobu osobliwa w swej harmonijności postać mieszczanina polskiego i patrioty, który oby stał się wzorem dla młodszych pokoleń naszego mieszczaństwa.

Dr TADEUSZ SKAŁKOWSKI. W ostatnich dniach kwietnia zmarł w Beaulieu pod Niceą jeden z wybitnych działaczy publicznych w Galicyi, dr. Tadeusz Skałkowski, długoletni poseł sejmowy

## POWRÓT WOJSK AUSTRYACKICH Z BOŚNI DO LWOWA.



Rezerwy austriackie, które przed kilku miesiącami wysłano na granicę serbską, wracają teraz do domów. Rycina nasza przedstawia przybycie batalionu 30 pułku piechoty t. zw. „lwowskich dzieci“ z pola niedoszłej chwały. Żołnierze, ucieszeni powrotem do domów, które żegnali niedawno z żalem, maskowanym wojacką junakieryą, grupują się teraz koło wagonów, aby wśród dźwięków muzyki i w asystencji wojsk, przybyłych na ich spotkanie, wrócić do koszar, złożyć tam wszystkie narzędzia mordercze, w które ich obficie zaopatrzone, i co prędzej wpaść w objęcia stęsknionych rodzin. Tłumy ludzi, wśród których niejednemu serce bije radośnie, przeliczają przybywających wśród głośniejszych okrzyków. Nikogo nie brakuje. Wszyscy zdrowi, weseli, idą rażno w takt skocznej mazura i kotomyjki, które im doskonała muzyka z zapałem przygrywa.

i kierownik wielu instytucji i stowarzyszeń, mających na celu podniesienie ekonomiczne i obronę interesów narodu polskiego. Gorący patriota, złożywszy ojczyźnie podatek krwi pod Miechowem, gdzie, raniony śmiertelnie, cudem prawie

Teraz spotkaliśmy się z faktem pokrewnej treści, książką, ułożoną przez pp. Eug. i M. Tropowskich, p. t. „Sbornik młodej Polski“, wydana w Petersburgu staraniem spółki wydawniczej „Eos“. Jest to w pięknych przekładach podana wiązanka utworów „młodej Polski“, przeważnie prozaicznych: Gustawa Daniłowskiego „Pociąg“, Kazimierza Tetmajera „Tryumf“, Wacława Grubińskiego „Uczta Baltazara“, Stefana Żeromskiego „Doktor Piotr“, Władysława St. Reymonta „Przed świtem“, Stanisława Przybyszewskiego „Goście“, Jana Kasprzowicza „Poezje prozą“, Stanisława Wyspiańskiego „Meleager“, Andrzeja Niemojewskiego „Ludzie z zawiązanymi oczyma“, Jerzego Żuławskiego „Po uczcie“.

Dobór tak autorów, jak i dzieł, sam mówi za siebie.

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.**  
„ENGLISH CLOTHING HOUSE“.

**MEBLE STYLowe M. KALMUS**  
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR“ poleca:  
Sole do kąpielii NAUHEIMSKICH z kwasem węglow.  
Sole do kąpielii BALSAMICZNYCH z kwasem węglow.  
Sole do kąpielii JÓDOWO BROMOWYCH z kw. węgl.  
Sole do kąpielii SIARCZANYCH z kwasem węglowym  
Sole do kąpielii ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

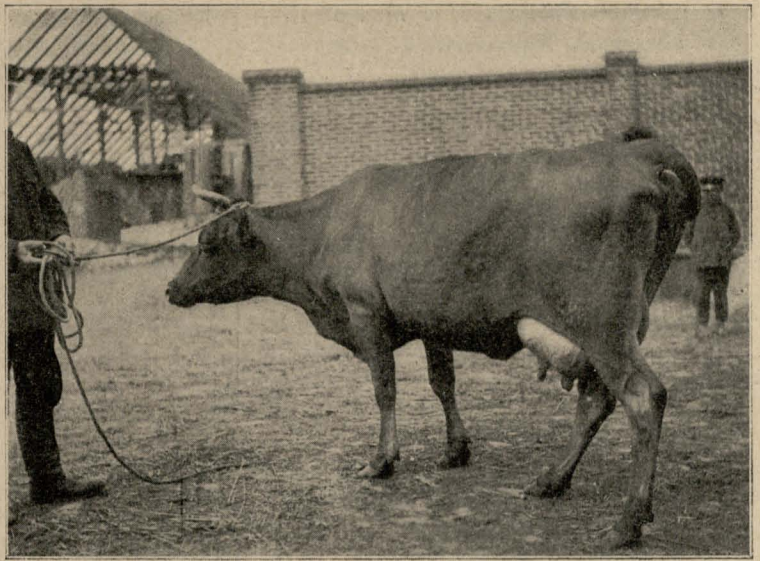
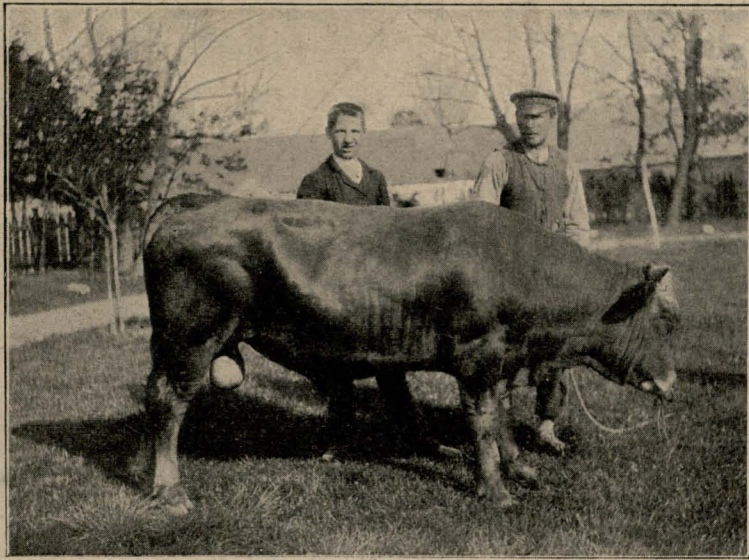
**Najlepsze perfumy, mydła i wody kolońskie S. J. Czepelewieckiego**  
Ządać wszędzie.

PIWO **DROZDOWSKIE** marcowe, kuracyjne  
sprzedaż wszędzie.

**BIELIZNA MĘZKA I DAMSKA**  
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie



TEATR ŁÓDZKI „WIKTORIA“ PO POŻARZE. WIDOK ZEWNĘTRZNY I WIDOWNIA. Fot. „Świtez“.



OKAZY „SPOLKI ŁOMŻYŃSKIEJ” Z WYSTAWY INWENTARZA NA AGRYKOLI DOLNEJ. Fot. Plewiński.

## Wieś w Warszawie.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Ktoś powiedział, że łatwiej zrobić miasto, niż wieś.

Może to i prawda.

Trochę domów, trochę ludzi i miasto od biedy. Ale wieś trudno sobie wyobrazić bez jakie-

poszczególnych działów z energicznym prezesem wystawy, p. St. Dłużewskim, wzięwszy na egzamin różne dójki, klaczki i maciorki, porozdawało w formie odznaczeń piątki rzymskie, zwyczajne, czwórki z plusem—bo na trójkę nikt nie zasłużył, podawać więc szczegółowej oceny dyletantowi nie wypada.

Ale:

„Gdyby tak mi los w nagrodę  
Chociaż chłopską dał zagrodę,  
Chociaż chłopską dał...”

Gdyby tak...

To *wziąłbym* sobie zaraz do orki takie dwie szpaczki „Setną” i „Kruświcę” z Trzebień (własność J. hr. Zamojskiego), a do wózka parę gniadych z Borowna (p. A. Michalskiego), dla chłopców po arabczyku p. Kleniewskiej z Niezdowa, „Parysa” dla Jurka, a „Marsha” dla Józia, *wziąłbym se* ze cztery dójki holenderskie z Zaborowa (p. Goldstanda), z kilka jałozek z Różanki (hr. Zamojskiego), albo wybrał parę sztuk ze „spółki łomżyńskiej”, a kilka od p. Tadeusza Kossaka z Koźmina.

Co do trzody, to sobie już kobieta upatrzyła parę plewniaków i knurka u p. baro-

dzono, więc poprzestaną na tym wyborze.

Tylko się boję, że, nim się człowiek zagrody dochrapie, to wszystko rozłapia, bo i kupców, i ciekawych nie brak na wystawie.

Oprócz gości wiejskich, wśród których są i „Marynie Połanieckie” i „Borynowe Jagny”, zjawiała się i stęskniona za wsią Warszawa. Gwaro i rojno. A najmilej, najdonośniej dźwięczą głosy młodzie szkolnej, którą tutaj, a nie „na sąd nad Ewą Pobratyńską” przyprowadzono.

Smieją się młode oczy do konia, do tej „gadziny rogatej”, co im błonia i łąki przypomina, i uczą się cenić i kochać to, co swoja ziemia daje! I zdrowiej im tu wśród „niemych stworzeń”, niż wśród wymownych „adwokatów”... z kabaretu!

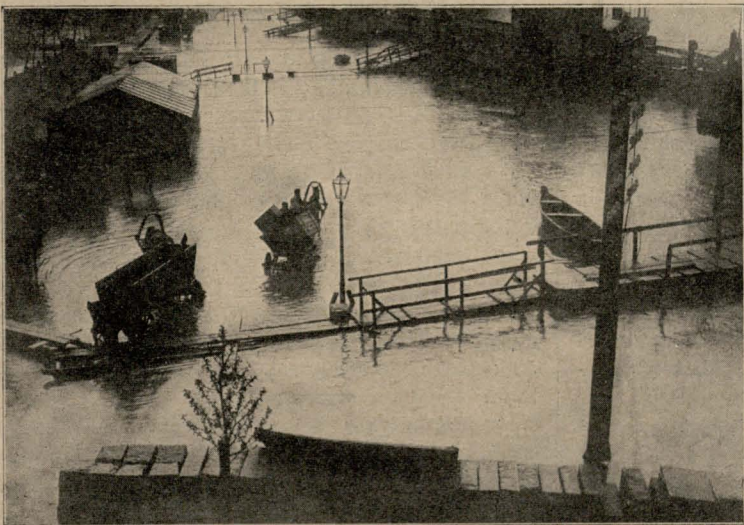
KAZIMIERZ LASKOWSKI.

## Występy Kochańskiej.

Jeden z przyjaciół moich, karmazyn z krwi i animuszu, gdy mu strój niemodny i zaniedbany wymawiano, zbywał natręta lapidarną parabolą: „Nowy pan, nowy frak; stary pan, stary frak!”

Owóz i Kochańska wystąpiła po nie wiedzieć ilu latach niebytności w Warszawie—w starej, staroświecko starej „Trawiacie”, albowiem też jest karmazynem w cechu śpiewaczym, a śpiewa nie od dziś i nie od wczoraj, *tandem* nie przystoi jej dokaazywać w ekscentryczno-modernistycznej koncepcji.

Pośpieszmy jednak dodać, że Marcelina Kochańska przyszła na świat w Wiśniewczyku pod Lwowem w pięć lat *po* najpierwszej, weneckiej premierze „Trawiaty” czyli w roku 1858-ym. Kształcili ją kolejno w muzyce i śpiewie: w konserwatorium lwowskim późniejszy jej małżonek, prof



Ulica Solec podczas wylewu Wisły w dniu 10 maja r. b.

goś siwka, bez jakiej „graniatej” lub „tysuli”, bez burkowego ujadania, a choćby bez meteorologoguta, który w tych czasach zapewne ochrypl od ciągłego piania na zmianę, co, nawiasem mówiąc, nie na wiele się jakoś przydaje.

Ale wracam do rzeczy.

Ma teraz swoją „wieś” Warszawa, z doborowym inwentarzem żywym na Agrykoli, i to w pożątej ilości: 250 sztuk bydła, 60 z górą koni, 75 sztuk stworzeń, których panna Zofia po imieniu nie nazywa, są kurki czubate, słowem, wszystko, co potrzeba, aby sobie wytworzyć obraz wsi w całej pełni. Od czasu zaprowadzenia ceł zbożowych, od chwili, „gdy w Gdańsku przestała płacić pszenica”, system gospodarczy naszego kraju ulegał stopniowo radykalnej zmianie. Gospodarstwa zbożowe jęły się przeobrażać w hodowlane, a do jakiego stopnia rozwoju doszliśmy już w tym kierunku, dowodem choćby obecny, w połączeniu z wystawą, jarmark na inwentarz żywy, pod egidą Centralnego Tow. Rolniczego urządzony.

Kilkadziesiąt stajen zawodowych, kilkadziesiąt obór, kilka chlewni stanęło do apelu.

Są tu reprezentowane wszystkie strony kraju w swej hodowli. Więc ciche Podlasie, więc Lubelskie, więc bujne Krakowskie, są jałozki od Radomia, są od Kutna, są mazurskie i hen, aż od Suwałk gadzina.

W chwili gdy piszę te słowa, już „jury”

na Heydla z Gardzieni i maciorkę z małemi z Moszny. *Wziąłbym se* może i co więcej jeszcze, ale się boję, żeby mnie o „eksproprowanie” nie posą-



Fragment wystawy „Warszawskiej Szkoły Sztuki Pięknych” w Salonie S. Kulikowskiego.

Stengel, w Wiedniu—Rokitański, w Medyolanie—Lamperti. Debiutowała Kochańska—aż w Atenach, w r. 1877 w tamtejszej operze włoskiej, w „Purytanach”. Pierwszy kontrakt stała zawarła z operą w Dreźnie, a w r. 1880 przejechała do Londynu, gdzie po nieopisanych tryumfach zaangażowano ją na całych pięć sezonów. W trakcie londyńskich występów zwiedziła całą niemal Europę, oraz odbyła z ogromnym powodzeniem *tournee* po Ameryce.

Nie nazwać Kochańskiej inaczej, jak śpiewaczką—wszechświatową.

Wszechświatowej stawy artyści nasi, Paderewski, Reszke, Hoffman, Modrzejewska, stałego miejsca pobytu w ojczyźnie swojej nie mieli i nie



Marcelina Sembrich-Kochańska.

mają. Najrzadziej ukazywała się nam Kochańska. Napisła przed laty—bez namysłu chwili:

Miło śpiewać jest obcym, lecz swoim najmilej — i pojechała w świat szeroki, jakby całkiem bezpowrotnie. Słyszano ją, w pełni rozgłosu i głosu, w Warszawie po raz ostatni w roku 1895.

Obecnie, opuszczając scenę na zawsze, przyjechała pożegnać i nas. Ale podczas trzech wieczorów operowych („Traviata” i „Cyrulik sewilski”) witaliśmy i żegnaliśmy ryczałtowo już nie tę Kochańską, która przed laty błysnęła meteorem w Warszawie. Kto żyw, pośpieszył zaopatrzyć się, z mnóstwem zabiegów, w bilet na operę i słuchał—z nabożeństwem. Kochańska śpiewa! Wielka Kochańska, współzawodniczka Patti, Lucci, Nilsson!... Mistrzyni koloratury i wdzięcznej lirycznej kantileny, „słowik polski”, „nasza chwała”, natura nawskroś artystyczna, obdarzona z Bożej łaski głosem do nie przecięgnięcia dźwięcznym, a oszałamiającym wirtuozostwem techniki śpiewaczej!...

Owóż i oglądaliśmy ją i słyszeliśmy i pożegnaliśmy. Jakież wrażenie? To przedewszystkiem, że czas nieubłagany uczynił znaczne spustoszenia w dźwięczności, świeżości i sile, zdawało się, niespożytej głosu Kochańskiej. Pozostała nietknięta, a może nawet rozwinięta jeszcze, do

ostatecznych granic: *umiejętność* śpiewania. Tą umiejętnością, wręcz bajeczną, pokrywała niedostateki zmatowanego głosu Violetta i Rozyna.

Łatwiej przyszło to Violecie, niż Rozynie, w każdym jednak razie było co podziwiać, było czem rozkoszować się. Tylko śpiew Kochańskiej ani zachwyca dziś, ani porywa. Rzekłbym: wobec tych nadzwyczajnych biegników, tryłów, gam, skoków na odległe interwale, mordent, staccattów, wobec tak zwinnych jeszcze, giętkich, swobodnych ruchów i póź wielkiej śpiewaczki, widz i słuchacz oddaje się wysoce przyjemnej kontemplacji.

Lecz na entuzjazm i owacje, oraz na t. zw. „burze oklasków” nie zdobyła się Warszawa. Potrosze dlatego, że pamiętamy tu jeszcze nazbyt żywo „złote czasy” kariery śpiewaczki p. Sembrich, a niemniej może z powodu nieutulonego żalu, żeśmy sami tak mało posiadali—Kochańskiej.

„Między nami nic nie było!” śpiewała nam „na bis” Rozyna podczas lekcji śpiewu w „Cyruliku”. Otóż to właśnie! Za mało było łączności Kochańskiej ze społeczeństwem polskim... Gwiazdą była na zbyt dalekich niebach...

Wszelako jedną z najdostojniejszych wogóle przedstawicielek t. zw. *bel canto* uhonorowaliśmy należną atencją. Ze swej strony p. Kochańska, obyczajem monarszym, ofiarowała 1,500 rb., na rzecz chórów opery warszawskiej. Słowem, wizyta pożegnalna odbyła się według najprawdłowszego ceremoniału, *very correct*.

Co i zapisujemy na wieczną rzeczy pamiętkę w wielkiej nowożytniej kronice dziejów chwili bieżącej: na szpaltach prasy. CZ. J.

## OBCHÓD ANCZYCOWSKI

### W KRAKOWIE.

Piękną uroczystość obchodzono w dniu 8 b. m. w Krakowie. Liczny, z przedstawicieli różnych warstw społeczeństwa naszego złożony komitet, który zawiązał się niedawno dla uczczenia 25 rocznicy zgonu Władysława Ludwika Anczyca, doprowadził dzieło swe do pięknego końca. Uczczenie tej rocznicy odbyło się wedle programu i wypadło wspaniale. A nadano jej charakter przedewszystkiem włościański. Autor „Łobzowian” był twórcą naszej sztuki ludowej. Lud też był przedewszystkiem powołany do złożenia hołdu.

W jasnych promieniach majowego słońca już od wczesnego rana kraśniały w sobotę na ulicach Krakowa sukmany i barwne kierezye licznych delegacji ludu krakowskiej ziemi. Szły te dziarskie barwne oddziały w wojskowym ordynku, ze sztandarami i wieńcami, ze wszystkich stron, zdążając ku kościołowi ze św. Anny, skąd, po nabożeństwie uroczystym, miał ruszyć pochód do kościoła św. Salwatora na Zwierzyńcu, na ten Sikornik, o kilka staj od kopca Kościuszki położony, który Anczyc tak ukochał, że sądu ostatecznego na nim właśnie wyczekać pragnął.



Obchód Anczykowski w Krakowie. Pochód delegacji włościańskich pod klasztorem Norbertanek na Zwierzyńcu.

go na nim właśnie wyczekać pragnął.

Okolo południa rozwinął się ten wielki pochód, lśniący czerwienią i białością sukman i, jak jakiś wąż fantastyczny, zaczął przewijać się gwarne ulicami Krakowa. Straże ogniowe w błyszczących kaskach, żółte, pękate trąby orkiestr, ogromne zastępy młodzieży szkolnej, w ciemno-granatowych uniformach, niby łan bławatów, za nimi niebiesko przybrani śpiewacy wiejscy z Modlnicy, a potem—całe seciny włościan krakowskich i włościanek, dziarskich i zamaszystych...

Pod kościołem św. Salwatora na przygotowaną już trybunę weszli kolejno dr. Lucyan Rydel i poseł Jakób Bojko, którzy w gorących słowach przypomnieli zebranym zasługi Anczyca. Następnie odsłonięto tablicę pamiątkową z białego marmuru, którą wmurowali w ścianę skromnego kościołka przyjaciele autora „Tyrteusza”. Chór włościański zaintonował wreszcie hymn narodowy, które tysiączne tłumy powtórzyły.

Popołudnie wypełniły uroczyste przedstawienia w obu teatrach. W teatrze miejskim, po stosownym przemówieniu i deklamacji, odegrano „Łobzowian”, w teatrze ludowym zaś „Chłopów arystokratów” przy udziale znakomitej artystki lwowskiej pani Wojnowskiej, w roli Koguciny. Tu i tam zarówno przeważała publiczność wiejska, która, żywo reagując na każde słowo przedstawianych sztuk, dowiodła raz jeszcze, że nigdy nie zapomniany Anczyc nie mylił się, wierząc tak gorąco w nasz lud i w tkwiące w nim potężne siły rozwojowe. □



Chór włościański z Modlnicy.



OBCHÓD ANCZYCOWSKI W KRAKOWIE.

Poseł Bojko przemawia do zebranych pod kościołem św. Salwatora.



Ukazała się wystraszona głowa starej kobiety.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

# UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 20)

Kazimierz stanął i wcale zajadle spojrzął na pana Apolinarego:

— Nie upoważniłem wuja do tego.

— Co to? cóż to za mina? Furyat jakiś z ciebie się zrobił w tych Rarogach?!

Nastała chwila przykrego milczenia. Odezwał się pierwszy Kazimierz:

— Jeżeli wolno mi prosić o łaskę, proszę mnie nie swatać wogóle, a i dzisiaj mi o tem nie mówić, bo już doprawdy głowa pęka.

— Patrzcie! mnie, staremu, nie pęka, a jemu pęka!—Co innego jest pod tem wszystkim, dobrodzieju mój.

Kazimierzowi ani się śniło zapytać, co takiego. Chodził ciągle, myśląc o jednym: pokłócić się z wujem, czy nie? Lepiej—nie.

Pan Apolinary zaczął od teorii:

— Przekleństwem dla młodych są te rozwydrzone mężatki, wdówki i rozwódki, co to niby swoboda, panie tego, a zabierają mężczyzn dla siebie i mieszają im pojęcia o uczciwym związku małżeńskim.

— Ależ, wuju kochany! Ześmy się

spotkali na Litwie, to mnie wuj jeszcze nie wziął w kuratelę. Mam lat dwadzieścia ośm.

— Prawda, że to już... Ale myślałem, że, jako krewny, znający cię od kolebki, Kaziu, jako odwieczny przyjaciel twego ojca, mógłbym mieć jakiś posłuch u ciebie. No, i w tej nowej wędrówce dla dobra ogółu myślałem, że mi Bóg zesłał okazję przysłużenia się i tobie, i ojcu twojemu, i moim krewniakom litewskim... Szczęście pewne, samo idące do rąk, a tu nie—pan Kazimierz...

Rokszycki przerwał:

— Wiem, najlepszy z wuja człowiek, ale...

— Ale głupi może? co? Tobys się ładnie złapał, gdybyś tak sądził! Wiem dobrze: zawróciła ci w głowie pani Krystyna.

— Najprzód niech wuj nie wmawia we mnie, że źle o nim sądzę, bo wie, że go bardzo cenię. Powtóre—pani Krystyna nikomu głowy nie zawraca.

— Zawraca, kochanku, i to każdemu. Ja sam doznałem tego na sobie przy powrocie z polowania.

— I nie zawróciła jednak?—rzekł Kazimierz z lekkim odcieniem pogardliwym.

— Bom ćwik, Kaziu. Znam lepiej świat i kobiety, niż ty, z przeproszeniem. To jest, oczywiście, ładne, może i dobre. Ale nie na żonę. Najprzód szusowata.

— Doprawdy?

— Wszyscy to mówią, i ja sam zauważyłem. Nie tak gada, rusza się, nosi się, jak kobieta w jej pozycji powinna.

— Co wuj nazywa „jej pozycją”?

— No, wdowa, zrujnowana, na łasce Chmary. Mogłaby być trochę pokorniejsza.

— To według wuja człowiek powinien mieć tyle dumy, ile pieniędzy?

— Nie mówię. Ale zawsze trzeba mieć jakąś zasadę do takich wysokich manier. Inaczej popada się w śmieszność.

Kazimierz stracił cierpliwość:

— Więc pani Krystyna, dlatego że jest Sołomerecka, że się urodziła i wychowała w dostatkach, że jest sierotą i wdową, że ktoś ją okradł—nie wiem jeszcze dokładnie, kto i jak—że szwagier raczył się zająć jej interesami, dlatego ona nie ma prawa czoła

nosić wysoko, chociaż jest piękna i jasna, jak dzień, i nikomu nie ustępuje w rozumie, ani w wartości moralnej?!

Pan Apolinary spojrział na Kazimierza ze szczerem zmartwieniem:

— A tośmy się wybrali do tych Rarogów! Pan Kazimierz wyjedzie stąd zaręczony! Ale czy tak, jakby należało? czy tak, jakby rodzice twoi pragnęli? To kwestya, dobrodziejku mój.

— Proszę wuja, nie wiem, czy mnie wuj ma za wartogłowa, ale ja nim nie jestem. Nie zaręczyłem się, ani mowy o tem nie było. Cokolwiek zaś po głębokim namyśle przedsięwzię, rodzice moi o tem się dowiedzą i sami osądzą.

— Masz rację; rodzice przedewszystkiem. Ja od spraw twoich wszelkich umyłam odtąd ręce.

Rokszycki wcale nie prosił, aby Budzisz cofnął to ostatnie groźne postanowienie.

Budzisz nie wychodził jednak; siedział osowiały, bez wszelkiej okazałości, rozmyślający. Wstał po chwili ociężałe i rzekł z udaną obojętnością:

— Do widzenia zatem... Zapewne już się nie zobaczymy na Litwie?

— Ja w każdym razie jeszcze kilka dni zatrzymam się w Wilnie.

— Taak? no to może...

Kazimierz widział wyraźny, serdeczny żal w oczach Apolinarego. Rzekł weselej:

— Doczekam się wuja w Wilnie. Tam będzie więcej czasu na rozmowę.

— A no dobrze. To się może dogadamy?

— Z pewnością się dogadamy. I tu nie wiem, o co poróżniliśmy się? Burza jest w powietrzu.

— W tobie, Kaziu, jest burza. Pilnuj, żeby nie strzelić piorunem, gdzie nie potrzeba.

— Niech się wuj nie obawia.

— Więc się wkrótce spotkamy. Ja tymczasem zajrzę jeszcze jutro do tych kochanych Wiszun, gdzie to i cisza, i dostatek, i serca zacne...

— I szpekkuchy, i familijna starka...— nie wytrzymał Kazimierz.

— Et, gadasz znowu! I Aldona, dobrodziejku mój. Szukaj takiej po świecie.

— Namysłę się.

— Namysł się, Kaziu. Małżeństwo to nie miodowy miesiąc, chociaż co tam za miody w Wiszunach! (cmoknął). A przytem wszystko w kupie: bo i akcyja przeciwko litwomani. *Utile cum dulci*, całą gębą, dobrodziejku mój!

— To wuj nie widzi potrzeby żadnej akcyi w Rarogach? Może nawet i trochę ważniejsza?

— Choćby i była, cóż z tego? Ożenisz się z jedną z Chmarzanek?

— Tegoby jeszcze brakowało!

— Więc widzisz, pomyśl dobrze, Kaziu.

— Pomyślę i naradzę się z wujem— rzekł Kazimierz na odczepne.

— O! tak mi gadaj, Kaziu drogi! Poznasz to kiedyś: pan Apolinary do rady jedyny.

## XII.

Powiedziała: przyjdę.—Co to miało znaczyć?

Poprzednia umowa o spotkaniu się w ogrodzie o świcie upadła z powodu przyspieszonego wyjazdu Kazimierza.—Ale ona, wiedząc już o wyjeździe, obiecała przyjść.— Czy tylko wie o porze wyjazdu tak wczesnej, właściwie nocnej?—

Po niewczasie miarkował Kazimierz, że przez nagłość swego postanowienia utrudnił sobie cel, który już panował nad wszystkimi innymi projektami na dzisiaj: stanowczą rozmowę z Krystyną. O czem?—Najprzód o sposobie pomożenia jej w tych zawikłanych sprawach pieniężnych. Taka kobieta powinna być niezależna, bo... trzeba z nią zawrzeć ścisłe przymierze. To jest człowiek, indywiduum— przez nią i z nią można tu zrobić wiele dobrego.—I tę właśnie sposobność porozumienia się, gdy są pod jednym dachem, zepsuł, skrócił Kazimierz przez swój nagły wyjazd.

— Jaki ja dureń!—bił się w czoło Kazimierz, pozostawiony sam w pokoju po wyjściu Apolinarego.—O pół słowa mniej powiedziałbym Chmarze i wyjechałbym wieczorem, po przechadzce z nią w parku, po całym dniu jeszcze, w którym mogłyby powstać projekty na przyszłość. A teraz ona gotowa przyjść o świcie do parku, w godzinę po moim wyjeździe! To niepodobieństwo.—

Więc postanowił tak:

— Ona przyjdzie, to nie ulega wątpliwości. Gdy ona chce, to działa; gdy co obieca, dotrzyma. W teoryjach, które głosi, w postaci jej, w oczach—jest tego wszystkiego gwarancya. Ale może ostatnie jej słowo było rozkazem odroczenia mego wyjazdu? Może nie domówione zdanie miało tak brzmieć: „Przyjdę o świcie do parku, więc pan musi tam być—i basta”.

— — — W takim razie przepłacam woźnicę, pozostaję w Rarogach do 5-tej, a że się spóźnię na pociąg, to już fraszka. Siedzieć będę na stacyi do wieczora.

Taki plan go uspokoił. Tymczasem, aby być w pogotowiu na wszystkie możliwe znaczenia słowa „przyjdę”, złożył swe rzeczy, zamknął kufer, kapelusz nawet położył blisko pod ręką i, zasiadłszy się w fotelu sztywno, aby nie usnąć, smuł dalej myśl nieustanną o Niej. Powoli jednak, czujnie, jak żóraw, ale zasnął.

Na lekkie zastukanie do drzwi odpowiedział odrazu trzeźwym, donośnym głosem: „Proszę”. Ale drzwi uchyliły się zaledwie, a w szparze ukazała się nieznajoma, wystraszona głowa starej kobiety.

— Przepraszam najmocniej... czy pan Rokszycki?

— Tak jest.

— Ach, przepraszam! Ja przychodzę właściwie z takim zleceniem, że boję się, aby pan mnie nie miał za osobę podejrzaną...

Wyglądała, jak waryatka. Może się tu takie włóczą po domach?—pomyślał Kazimierz. Ale odezwał się uprzejmie:

— Czego sobie kochana pani życzy?

— Przychodzę od pani Krystyny. Tyle prosiła, że musiałam...

— Więc co? gdzie jest? Niechże pani mówi!

Wystraszona znowu przez gorączkę Kazimierza staruszka wznosiła na niego błagalne oczy:

— Ale pan nie będzie miał złego wyobrażenia?... I zamiary względem Krystyny...?

— Proszę pani. Wyjeżdżam za chwilę do Wilna i mam... odebrać polecenia od pani Krystyny. Daję pani słowo honoru, że *sam* wyjadę do Wilna.

— To proszę za mną—rzekła mało uspokojona staruszka.

Z zapaloną świecą poszła, wskazując drogę przez szereg ciemnych pokojów. Noc była jeszcze zupełna.

Mignęła nareszcie blado oświetlona sala jadalna. Tam, przy wielkim stole środkowym stała Krystyna.

— Jaka pani dobra!—zaczął Kazimierz, całując ją w rękę.

Krystyna zwróciła się tymczasem do starej biedaczki, która stała drżąca w aureoli siwych, ledwie przyczesanych włosów.

— Karuś! dziękuję.—Proszę pana: moja najlepsza, jedyna przyjaciółka, panna Karolina Zubowska.

Kazimierz podał jej rękę z głębokim ukłonem, a panna Zubowska wpadła w dyg chwiejący się, lecz dworski.

— Teraz, Karuś, idź spać. Patrz! to jest ten pan.—Bądź spokojna. Idź spać, Karuś.—

Po wymianie nowych oznak uszanowania z odchodzącą pozostali we dwoje. Krystyna była nadzwyczaj wesoła, jak dzieciak, któremu się udało oszukać opiekunów, dygotała od śmiechu i od zimna, w czarnym jedwabnym szlafrocuku z białymi koronkami. Świeciła z niej tylko twarz, szyja, ręce, obnażone do łokci, i białe koronki, dążące za gibkimi zarysami postaci. A sama postać czarna i włosy, ledwie związane, przepadały w ciemności dużej sali, oświetlonej jedną tylko lampą. Okolenie oczu śniadą chmurką świadczyło o bezsenności i niepokoju, ale dodawało twarzy drażniącej ponęty. Kazimierz patrzył.

— Nie ma pan pojęcia, jakie miałam trudności! Najprzód mnie księżna odprowadziła do mego pokoju i klapła tam na dobrą godzinę. Powiedziałam, że mnie głowa boli—to mi znów przysłała młodszą Chmarzanekę, aby mnie leczyła od bólu głowy odmawianiem nowenny! Doprawdy! Niedobra dziewczyna ta młodsza, Teresa. Ledwom się jej pozbyła: musiałam udać, że zasnęłam, leżeć, jak martwa, aż nareszcie sobie poszła. Wtedy ubrałam się, obudziłam Karolinę—no, ale zrobiła się godzina druga. Żeby nie to, przysłałabym do pana jeszcze wcześniej!

Kazimierz całym sercem brał udział w tej wyprawie; śmiał się i tłómaczył ze swojej strony:

— Musiałem przyspieszyć wyjazd, bo dłużej nie mogłem pozostać po rozmowie z gospodarzem domu. Pani mi tego za złe nie weźmie?



— Rozmowy z Chmarą nie słyszałam, ale pewna jestem, że pan mówił dobrze. A co do wyjazdu... czy panby odjechał, nie pożegnawszy się ze mną?

— Nigdy!—rzekł Kazimierz zapalczywie. —Powiedziała pani: przyjdę. Gdziekolwiekby pani przyszła i o której godzinie, zastałaby mnie na miejscu.

— To dobrze... Bo my przecie mamy tu wspólne sprawy... ogólniejsze?

— Chciałbym mieć ich tysiąc!

— Umówmy się choć o jedną—rzekła Krystyna z powabną ironią.

— Nie! proszę mnie o błagę nie posądzać. Mówię szczerze: chciałbym mieć tysiąc spraw, w których pani brałaby udział. Najprzód, ludzie, jak my... przepraszam za to zuchwałe porównanie...

— Owszem: ludzie, jak my. Niech pan mówi dalej.

— Więc tacy powinni wiedzieć o sobie na całej przestrzeni od Rarogów aż za Wisłę. Powtóre, powinni porozumiewać się i wspierać.

— Nawet widywać się częściej—dodała Krystyna.

— To nieodzowne. Postanówmy najprzód, gdzie się zobaczymy.

— To jest: kiedy pan powróci, bo przecie panu łatwiej, niż mnie.

— Niewątpliwie. Zatem... Ale dokądże ja powrócę? Tutaj chyba trudno?

Skrzywił się i chwycił się za głowę, jakby go nagle zabolęła:

— Ta rozmowa wieczorna! Do Rarogów mnie tak prędko nie zaproszą.

— Niech pan rozmowy z Chmarą nie żałuje. Z samych powtórzeń, które doszły mnie, wiem, że była potrzebna—dla innych. Ale pan przecie zajmuje się Inem?

— Tak, pani.

— A jeżeli ja wynajdę jakieś plantacye w okolicy, do których pana zaproszą, gdzie i ja się zjawię?

— To byłoby genialne i tak już łaskawe, że byłbym dłużnikiem najobowiązańszym.

— Więc spróbuję.

Kazimierz patrzył z zapałem na swą piękną aliantkę, a zarazem mrugał powiekami, szybko coś projektując:

— Zaraz... Kiedy pani mi wyraźnie chce pomódz w moim zawodzie, to i mnie wolno myśleć o jej sprawach osobistych.

(DCN)



Dwie łzy spłynęły po boskiem obliczu Nimfy.

STANISŁAW BAGIEŃSKI

ANNA WOLFFOWA:

## CO MÓWIŁ FAUN...

Było samo południe, i nawet w gąszczu leśnym upał panował nie do zniesienia. Liliowe dzwonki i jagody, powoje, chmiel dziki i kalina, omdlałe z gorąca, pospuszczały barwne swe kielichy i soczyste jagody nisko ku ziemi i stały tak w cichem, półsennem odrętwieniu, siejąc dokoła duszny zapach zarośli, niby niemą na upał skargę...

Nawet swarliwe zazwyczaj ptaki leśne zmilkły na chwilę—i tylko niezmordowana

w swawoli swej wiewiórką mignie gdzieś czarnym rudym ogonkiem z poza grubego pnia, zaszeleści pazurkami po korze, strąci kilka żółdździ i zniknie, albo wiecznie łakomy dzięcioł zakuje grubym dziobem w stare, splekane drzewo...

A jednak z głębi leśnej głąszy zdają się płynąć jakieś dźwięki... Czy niosą je wartkie fale strumyka, co po kamienistym łożu wije się, pieni i pryska?... Bo tam, gdzie z pod

urwiska niebieską wstęgą sączą się wody, roztacza się śliczna, mała polanka.

Prastare dęby, pierścieniem z sobą zwarte, tworzą cień i wilgotny miły chłód, a miękkie trawy i bujne paprocie pachną odurzająco... Zdruzgotany niegdyś burzą pień, jak zmęczony walką olbrzym, leży w poprzek polany, i na nim to siedzi teraz, pogrążony cały w natchnionej pieśni „Pan”. Obrosłe ciemnym włosem nogi skulił pod sobą, że tylko

z boków wyzierają czarne kopyta, kędzierzawą, rudą głowę przechylił melancholijnie w tył i w przyłożony do ust flet dmie tak namiętnie, aż ślina toczy mu się z grubych warg i spływa po kudłatej, długiej brodzie...

Cały w ekstazie, przymknął nawet oczy i wydobywa z fletu dźwięki sielskie, a tak żalostne, że rozręsknionem echem rozegrał się cały las. I nie wiem, jak długo trwałaby ta muzyka, gdyby jakiś niezwykle szmer nie doszedł śpiczastych uszu Fauna.

Nie był to szelest sarny, która podchodzi do strumienia pić, ani też lis, czający się do kuropatwy, i nie był wąż, snujący oślizgłą pierś wśród gęstych traw... Więc zaciekawiony Pan, nie odejmując od ust fletu, rozchylił szpary przymkniętych powiek i aż drgnął cały na widok zjawiska...

Naprzeciw, pośród bujnych piór paproci i smukłych dzwonek, oparta plecami o biały pień brzozy—stała Nimfa.

Słońce, przezierając poprzez koronkowe warkocze drzewa, siało setki jasnych plam na jej zaróżowione, nagie ciało, boskie ramiona okryły fale złocistych włosów, ale oblicze zasłaniają czegoś zazdrośnie obie dłonie...

Stoi nieruchoma, jakby w zadumie czy zasłuchaniu, i tylko czasem wstrząsa nią całą coś, jakby łkanie.

Zdumiony Faun patrzył przez chwilę z pod przymrużonych powiek bystrem okiem znawcy, aż, nie mogąc dłużej wytrzymać, odrzucił precz flet i jednym susem znalazł się przy niej. Silną ręką ujął jej białe dłonie i, odsunawszy je od twarzy, ujrzał cudne oblicze, zalane łzami...

— Na Zeusa! — krzyknął. — Ty płaczesz, Nimfo, wstydź się... Łzy to rzecz ludzka, bogowie nie płaczą nigdy!...

— Bo tak pięknie grałeś, Faunie, tak żalostnie! — jęknęła cicho. — Smętne echa niosą twą pieśń daleko, a że cierpiące serca koi muzyka, przyszłam więc posłuchać jej aż tutaj!...

To mówiąc, podniosła na niego oczy o lazurze tak ciemnym, jak niebo w letnią noc, przed burzą.

Faun uśmiechnął się z zadowolenia. Gorącym spojrzeniem objął jej mleczne ciało, ponsowe splakane usta i zapłonioną twarz i poczuł przyjemny prąd.

— Na Jowisza! Masz więc cierpiące serce, siostrze! I któż to taki zadał ci ranę? Swawolny Amor, czy brutalna czasem Dyana?... Zwierz mi swą troskę, pragnę gorąco pocieszyć cię dobrą radą!...

Objął ramieniem gibką dziewczęcą kibić, a prowadząc ku zwalonej kłodzie, usadowił ją na niej troskliwie, przykucnąwszy u jej boskich nóg.

Ale Nimfa walczyła jeszcze czas jakiś ze wzruszeniem, bojąc się zacząć zwierzenia... Pogłaskała więc przyjaźnie włochatą łapą jej drobne, złożone wzdłuż bioder dłonie, a zagładając w przysłonione rzęsą oczy:

— Nie Dyana i nie Amor—mówił przyjaźnie—i nie brat mój, dziki Faun, bo na to jesteś zbyt powabna, piękna Nimfo! A więc kto, kto?... Czyżby śmiać zranić cię „Człowiek”.

Za całą odpowiedź dwie łzy spłynęły po boskim obliczu Nimfy...

— Więc tak, to „Człowiek” — krzyknął rozgniewany Pan.—Ci „Ludzie” zawsze dokuczają nam przez swą zawiść, jak tylko mogą!... Ale jak, jak?... Opowiedz mi wszystko, niech wiem, na kogo ściągnąć gromy Plutona!...

— A więc opowiem—rzekła Nimfa, rozbrojona współczuciem.—Posłuchaj, Faunie...

Był kiedyś taki upalny dzień, jak

dzisiaj. Gorąco zapierało poprostu oddech w piersi, szukałam więc strumienia, aby w nim zanurzyć spragnione orzeźwienia ciało. Szłam sama i oto byłam już niedaleko, kiedy na mchu, w trawach, dojrzałam jakiś leżący kształt.

Podeszłam i, wiedzona ciekawością, jęłam się przypatrywać. Był to śpiący „Człowiek”... Niezwykle piękną miał głowę, twarz bardzo bladą, jakby strawioną gorączką, a usta jego uśmiechały się rozkosznie, widać do jakiejś sennej wizji... Obok, na ziemi, leżała drewniana szkatuła i jakieś zwoje papierów czy płócien... Przypatrywałam się jeszcze ciekawie jego dziwnemu ubraniu, kiedy roztworzył jasne oczy. Faunie! Wśród bogów widziałam różne oczy, ale tak pięknych i tak umiejających patrzeć nie widziałam jeszcze nigdy!...

— Urocza rusałko! — przemówił do mnie słabym głosem.—Zbłądziłem w tym lesie, szukając ciągle Piękna... Umieram z głodu i pragnienia!... Bądź dobra i daj mi choć kroplę wody...

Poskoczyłam do pobliskiego strumienia i kilkakrotnie nosiłam mu w obu dłoniach napój z chłodnego źródła. Pił chciwie.

Potem przyniosłam mu liść nenufara, pełen soczystych jeżyn, które zjadł ze smakiem. Ścigał mnie przytem ciągle spojrzeniem głębokich, jak morze północy, pięknych oczu, aż wręcz zapytał:

— Widzę, że jesteś tak dobra, jak piękna, boska Nimfo, czy nie chciałabyś jeszcze oddać mi jednej przystugi, łaski?...

— Chętnie! — odrzekłam, żywiąc już dla tego przybysza uczucie wielkiej sympatii.

— A więc poświęć mi codziennie trochę twojej wolności... Będę przychodził tu, do ciebie i, patrząc na twoje cudne ciało, będę w twych oczach i twoich różanych ustach szukał... sławy! Któż wie? Może ją znajdzie!... A wówczas, dzięki tobie, stanę się wielkim i szczęśliwym...

Nie rozumiałam dobrze jego słów, lecz chętnie usłuchałam, kiedy kazał mi stanąć tam, w słońcu, wśród falujących wodnych trzcin, nad strumieniem.

Rozpostarł potem przed sobą swoje płótno i począł na niem coś kreślić...

Podczas całej roboty nie spuszczał prawie ze mnie oczu, a ja czytałam w nich naprzemian: ciekawość, podziw, pragnienie i uwielbienie... Jego smutne usta uśmiechały się słodko i tajemniczo, kiedy wzrokiem przebiegał od



Opasał ramieniem smukłe jej biodra.

ST. BAGIEŃSKI

swej roboty ku mnie, a ja czułam, jak z twarzy uciekała mi wtedy wszystka krew, a w sercu niecił się pożar...

I codzień więcej mi był miłym, ten zbłąkany w naszym gaju „Człowiek”, i codzień z większym czekałam nań upragnieniem, myśląc, że niebawem nadejdzie chwila, kiedy zażąda ode mnie naprawdę szczęścia...

Aż kiedyś zadowolenie jego doszło do szczytu! Śmiał się rozjaśnionymi oczyma, jak dziecko, i biła od niego jakaś potęga, pewność i moc, kiedy skinął miękko, abym podeszła spojrzeć na jego ukończone dzieło.

I oto zdumiona ujrzałam na płótnie jakoby żywe moje własne ciało i fale jasnych włosów, które spadały na moje różowe, wzbране uczuciem piersi, a usta rozchyłał mi ten sam uśmiech, jakim odpowiadałam zawsze na jego słodkie spojrzenia... A on zacierał wciąż dłonie z radością i, zapatrzony w swe płótno, wołał do siebie, jak szalony:

— Teraz dopiero zobaczmy, czy nie będę ze sławnych najślawniejszych!... Zobaczmy!...

Nie rozumiejąc znaczenia tej radości, przelękniona trochę, cofnęłam się na swoje zwykłe miejsce. I patrzyłam, jak składał dalej z pośpiechem wszystkie swoje przybory i z jak wielką, ostrożną czułością związał ukończone swoje dzieło...

A potem raz już tylko, prawie przelotnie, spojrzął na mnie zinnymi oczami, a przesławszy mi końcem palców od ust pożegnanie, znikł szybko w cieniu leśnej drogi.

Głos Nimfy zadrżał, urwała. Tłumione łkanie nie dało jej mówić dalej, łkanie, mieszczące w sobie ból bijącej żywo młodej piersi, próżnych oczekiwań i zawiedzionych nadziei...

— Zaiste! — mruknął mocno rozdrażniony opowiadaniem Faun — czyżby „ludzie” umieli przeżywać życie po dwakroć i przewyższyć w tem potrafili nawet nas, samych bogów!...

I w zamyśleniu szarpał spiczastą brodę, wtupując niecierpliwem kopytem w ziemię całą swą złość...

— I odtąd nie widziałam już nigdy człowieka o bladej twarzy — kończyła zbolalym głosem Nimfa — choć codzień jeszcze chodzę nad brzeg strumienia...

Napróżno chwytam uchem każdy szelest wiatru, a pamięcią wywołuję spojrzenie jasnych, głębokich oczu... Ciało moje, jako lilia, białe, kąpię co rano u źródła, a tęskne ramiona wyciągam do pustych wspomnień!... Człowiek ten rzucił na mnie jakiś czar, że zapomnieć o nim nie mogę. I dlatego to twoja smutna pieśń, Faunie, przemówiła do mnie tak gorąco, i przyszłam za nią zdala, aż tu, ronić me gorzkie łzy!...

— O głupi, po stokroć głupi „Ludzie!”... — wybuchnął teraz wściekłą ironią Pan — czyliż nie wiecie, że, dopóki Piękno, jako treść życia, będziecie zaklinać tylko w Sztukę, nie poznacie, co jest Szczęście — przenigdy!...

I począł się śmiać tak szydlerczo, rozgłośnie a szczerze, że aż Nimfa podniosła nań zwolna poweseloną boską twarz, a stary bór zatrzęsł się cały, odpowiadając wtórem tyśiąca ech...

Ale Pan opamiętał się niebawem. Wyprostował swe silne bary, aż zatrzęszczały w stawach, potem nachylił włochatą postać, zajrzał wymownie w wilgotne jeszcze od łez, cudne oczy boginki — i, opasawszy ramieniem smukłe jej biodra, znikł w gąszczu leśnym...

Wkrótce dzwonił już zdala swawolny śmiech...

# O NAIWNEM POJĘCIU KRZYWDY, NAIWNEM OBURZENIU I INNYCH NAIWNOŚCIACH...

Odpowiedź na ogłoszenie w N-rze 18 *Tygodnika Ilustrowanego*.

Mógłbym zacząć i skończyć wprost na przytoczeniu przysłowia: „Uderz w stół, odezwą się nożyce”, ale szkoda mi stołu dla... naiwnych nożyczek.

Odpowiadam więc szczegółowiej.

W N-rze 18 *Tygodnika Ilustrowanego* p. St. Frankowski zamieścił ogłoszenie, w którym, wrzekomo broniąc przemysłu swojskiego, oburza się, że Anglik turysta wybrał sobie mniej odpowiedniego „cicerone”... i wyraża zdziwienie, że „przedstawiciel narodu, słynącego z praktyczności” (słowa p. St. Fr.), nie zasięgnął potrzebnych wiadomości u bardziej kompetentnych znawców, *respective* u p. St. Frankowskiego.

Zapewne byłoby to korzystne, ale tylko dla p. St. Fr. i jego... nożyc. P. Ralf Morai nie był jednak na tyle... naiwny, nie

chciał przyjechać do Warszawy na chybił trafił, wolał przedtem zebrać dane, czy mu się to opłaci, czy Warszawa, mimo głośzonego bojkotu, posiłkuje się jeszcze tandetą niemiecką.

I, otrzymawszy te dane, przyjechał, a przyjechawszy, wziął jeszcze z komory celnej wyciąg artykułów importowanych i adresy firm stolarskich, korzystających z usług niemieckich, i z temi dopiero urzędowemi cytrami w rękę poszukał sobie bezstronnego „cicerone”.

I nie wyrobił sobie „litości godnego” pojęcia o przemyśle stolarskim Warszawy, widząc warsztaty i sale rysunkowe i ludzi przy pracy w uczciwie prowadzonym interesie, lecz chyba o tych, którzy z „echt niemiecką” przebiegłością podsuwają lichy, wrogi towar za swój rodzimy, nie czując, że w tem wła-

śnie *leży prawdziwa krzywda*. Że Anglik specjalista łatwiej poznał się na tych cyrkowych łamańcach od warszawskiego, wierzącego swoim klientą, to chyba jednego p. St. Fr. dziwić może.

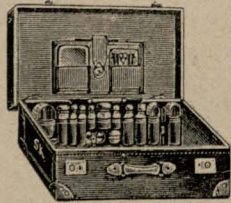
Uważając, że obraziłbym godność stolarstwa polskiego dłuższą polemiką z p. Stanisławem Frankowskim, kończę propozycją, aby p. Stanisław Frankowski podał swój dokładny adres do Redakcji *Tygodnika Ilustrowanego*, a ja ze swej strony złożę dowody z komory celnej i wykaz agentów niemieckich, stale zamieszkujących w Warszawie chyba nie dla... wilegiatury.

Ale p. Stanisław Frankowski swego adresu nie złoży, ja zaś anonimowym nastrikiem odpowiadać więcej nie będę.

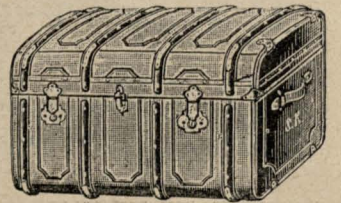
Wikliński.

## NADESŁANE.

**MEBLE**  
**ZAŁĘSKI i S-ka**  
Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



**STANISŁAW KRAUSE i S<sup>KA</sup>**  
FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY  
Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)  
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.

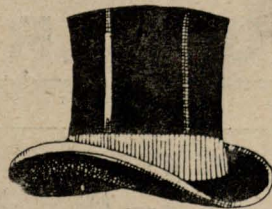


**„Konik“**  
**Mydło z mleka liliowego**

wytwarza różowy, młodociano-świeży wygląd, czystą, białą, jak jedwab miękką skórę oraz delikatną, ośniewająco-piękną cerę.  
Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.  
Główny skład na Państwo Rosyjskie:  
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

MAGAZYN KRAWIECKI  
**SZWAŁBE SACH:SKA**  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

**GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY**  
D-ra **ROBERTA BERNHARDTA**  
ordynatora szpitala św. Łazarza  
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.  
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentina, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.



poleca nowości na każdy sezon  
**KAPELUSZE-CYLINDRY**  
**ZDZIŚLAW ZDANOWICZ**  
W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.



Dostać można wszędzie.  
**KALODONT**

NIEZBĘDNY

**KREM DO ZĘBÓW**

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
dom własny

# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Polecac:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

## Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

PASTILLES

DE

# TAMAR INDIEN GRILLON

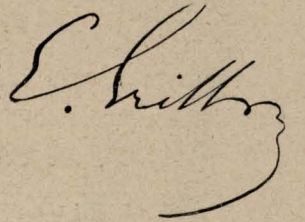
PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIWIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36  
przesła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

### Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael”.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17

## C. Skoryna

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbin, Transmisje i t. p.

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tel. 49.

PUDER  
N°337  
PERFUMERY  
H. LACHS i S-ka  
NAJLEPSZY  
IRIS

### LUDWIK SZUFA

## KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

## Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

## w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

## LECZNICA D-ra TARNAWSKIEGO W KOSOWIE

za Kołomyją, w Galicyi, otwarta od 1 maja do końca października. Klimat ciepły górski. Prospekty w księgarni Arcta.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślne wyniki w tej mierze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że można spowodować

## porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiadają esencja i MYDŁO „TATARO-CHMIELOWE”, wyrabiane w Centralnym Laboratorium Chemicznym\* (Czekay i Kryszewicz) w Warszawie przy udziale sił Lekarskich. Sprzedaż w składach aptecznych.

## HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

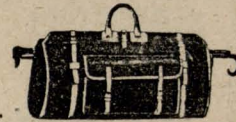
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

## E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3



poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

## POŁĄGA

pensjonat Laury Walewskiej, willa „Świtez” nad brzegiem morza. Pokoje, wygodnie urządzone, od 50 kop. do 3.50 dziennie, sezonowo od 30 do 150 rubli, kuchnia wykafetna, całodzienne utrzymanie rub. 1 kop. 75, w „Świtez”.

Wynajem mieszkań z kuchniami w willach hr Zofii Tyszkiewiczowej. Warszawa, Hortensya 5, m. 8. Telefon 11-10, od 4 do 6.

HURTOWY I DETALICZNY  
SKŁAD SUKNA I KORTÓW

## LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

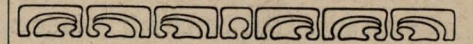
Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
Władysławy Kwiatkowskiej  
Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wyciżtowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spodnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

## HENRYK MICHAUX LEKARZ DENTYSTA

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.



## ODPOWIEDZI.

P. Annie S. Wierszy p. t. „Z myśli i wrażeń” nie wydrukujemy z powodu braku miejsca.

P. N. Cz. w Petersburgu. Oleodrukowe odbitki z tych obrazów nie istnieją.

P. N. N. w Wilnie. Numer jubileuszowy Słowackiego ukaże się w pierwszych dniach września r. b., w setną rocznicę urodzin poety. Album Kossaka jeszcze nie wyszedł.

Statemu prenumeratorem w Łodzi. Prosimy o nadesłanie adresu dla udzielenia listownej odpowiedzi.

P. Edwardowi Zys. w M. Nowelka Pańska p. t. „Pod wrażeniem”, słaba pod względem stylu i obrazowania, nie będzie drukowana w Tygodniku.

P. Franciszkowi Sokół. Z łaskawie nadesłanej „Riwieri” nie skorzystamy.

P. Wojstawowi U. S. A. Wierszyk zrzeczny, ale treść banalna.

P. B. Bibelkrautowi. Nie wydrukujemy.

Konwalii z Sosnowa. Należy pisać z pamięci, bez linii 2, 3 stronie, kop. 50 gotówką lub w markach pocztowych — adresować do naszej administracji.

P. R. P. w Janówku. Warunkom, wymaganym przez Sz. Pana, odpowiada jedynie tygodnik Zorza. Adres redakcji: Warecka 14.

Stalej prenumeratorki z Jakóbowa. 12 książek za dopłatą rb. 2, z przesyłką pocztową rb. 3.

P. M. Ski. Adres p. Chojnickiego: Kijów, Świątorzyn, 16.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa